

Tarzan i klejnoty Oparu

Burroughs Edgar Rice

Książka V z Tarzan



calibre 0.9.43

Edgar Rice Burroughs

Tarzan i klejnoty Oparu

Przełożyła J. Colonna-Walewska

Rozdział I

Belg i Arab

Wyłącznie urokowi swego nazwiska porucznik Albert Werper zawdzięczał to, że udało mu się uniknąć więzienia. Początkowo odczuwał wdzięczność za to że, zamiast być postawiony przed sądem wojennym (na co sobie zasłużył) został wysłany do tego "przeklętego" Konga. Jednak sześć miesięcy monotonnego życia, straszliwe odosobnienie i samotność dokonały w nim zmiany.

Młodzieniec ciągle rozmyślał nad swoim losem. Dni upływały mu na użalaniu się nad sobą. W końcu owe żale wzbudziły w jego chwiejnym i niezbyt rozsądnym umyśle nienawiść do tych, którzy go tu wysłali: do ludzi, dla których jeszcze niedawno czuł wdzięczność za oszczędzenie mu hańby degradacji.

Szkoda mu było wesołego życia w Brukseli. Tak jak nigdy nie żałował grzechów, które spowodowały jego wygnanie z tej najweselszej spośród stolic. Z biegiem czasu nienawiść jego skupiła się na przedstawicielu tej władzy, która go tu wygnała: na kapitanie załogi, jego bezpośrednim zwierzchniku.

Oficer ów posiadał naturę chłodną i milczącą. Nie wzbudzał wielkiego przywiązania u wojskowych niższej rangi pozostających pod jego rozkazami. Jednak czarni żołnierze z jego oddziału szanowali go i czuli przed nim respekt.

Werper zwykł był całymi godzinami wpatrywać się z nienawiścią w swego przełożonego w czasie, gdy obydwaj siadywali wieczorem na wspólnej werandzie, paląc papierosy w milczeniu - którego żaden z nich nie próbował przerywać. Szalona nienawiść porucznika zmieniła się z czasem w rodzaj manii. Tłumaczył sobie ponure usposobienie kapitana chęcią ubliżenia mu z powodu jego dawnych wybryków. Wyobraził sobie, iż zwierzchnik gardzi nim; burzył się więc w sobie i

szukował się do zemsty. Aż pewnego razu szaleństwo jego wybuchnęło żądzą mordu. Położył palec na cynglu rewolwera zwieszającego mu się u pasa. Oczy mu się zwięziły, brwi zmarszczyły ponuro. Wreszcie odezwał się:

- Ubliżyłeś mi ostatni raz - zawołał, zrywając się na równe nogi. - Jestem oficerem i szlachcicem, nie będę więc znosił dłużej takiego traktowania - nie porachowawszy się z tobą!

Kapitan odwrócił się do młodszego oficera z wyrazem zdumienia na twarzy. Zdarzało mu się już nieraz przedtem widzieć ludzi, ogarniętych szaleństwem dżungli; szaleństwem samotności, ponurych rozmyślań, z domieszką - być może - gorączki.

Powstał wyciągając dłoń, aby ją oprzeć na ramieniu Werpera. Uspokajające słowa przestrogi były już na jego ustach; nie zostały jednak wymówione. Werper, wzięwszy ruch zwierzchnika za gest obelgi, nacisnął cyngiel rewolwera. Tamten nie uszedł nawet kroku, gdy mordercza kula przeszła mu serce. Upadł, nie wydając jęku... Wówczas mgły, zasnuwające umysł Werpera rozstały się: oto ujrzał swój postępek w świetle, w jakim zobaczyłby go każdy świadek tej potwornej zbrodni.

Usłyszał podniecone okrzyki w żołnierskich kwaterach oraz kroki ludzi, biegnących ku niemu. - Schwytają go; jeśli zaś nie zabiją go na miejscu, zawiozą do najbliższego miasta w Kongo, gdzie trybunał wojenny skaze go niechybnie na karę śmierci!

Werper bynajmniej nie chciał umierać. Nigdy jeszcze nie pragnął życia tak, jak w owej chwili - kiedy utracił prawo do niego. Ludzie zbliżali się coraz bardziej. Cóż mu pozostało do zrobienia? Rozejrzał się wokół, jak gdyby szukając przyczyny, która tłumaczyłaby jego postępek; nie znalazł jednak nic oprócz trupa człowieka, którego uśmiercił bez powodu.

Zrozpaczony, odwrócił się i ściskając mocno w dłoni rewolwer zaczął uciekać przed nadbiegającymi żołnierzami w kierunku wyjścia z obozu. Na wysokości bramy zatrzymała go warta. Werper nie próbował nawet zaimponować strażnikowi swoją rangą, lecz zmusić do

wypuszczenia go z obrębu obozu. Wypalił z rewolweru, a gdy czarnoskóry żołnierz padł bezwładnie na ziemię, zdarł z niego pas z nabojami oraz karabin i pędem puścił się w stronę dżungli. Po chwili znikł w jej ciemnościach.

Przez całą noc Werper biegł przed siebie. Od czasu do czasu powstrzymywał go na chwilę w biegu ryk lwa; chwycił wówczas za broń, gotów do obrony - i znowu biegł naprzód, w rzeczywistości mniej lękając się drapieżników w dżungli aniżeli ścigających go ludzi.

Nadszedł wreszcie świt, a uciekinier wciąż biegł dalej. Uczucie głodu i zmęczenia przewyciężała trwoga przed sunącą za nim pogonią. Nie śmiał nawet zatrzymać się aby wypocząć i ostatnim wysiłkiem zmuszał własne ciało do przyspieszania kroku. Wreszcie stracił przytomność i opadł bezwładnie na ziemię, nie mogąc już dalej przeciwstawiać się wyczerpaniu z głodu i zmęczenia.

Leżącego Werpera odnalazł Achmed Zek, Arab. Ludzie Achmeda przebiliby od razu włóczniami ciało odwiecznego wroga, ten jednakże zdecydował inaczej. Najpierw chciał wy badać Belga (a łatwiej było tego dokonać przed zamordowaniem go, aniżeli po tym fakcie).

Poleciał przenieść porucznika Alberta Werpera do swojego namiotu. Tam niewolnicy poczęli zemdlonemu wlewać w usta pokrzepiające wino, powoli przywracając go do przytomności. Kiedy porucznik otworzył oczy, ujrzał wokół siebie twarze obcych, czarnych ludzi. U wejścia do namiotu widniała postać Araba. Nie było ani śladu jego żołnierzy. Arab spostrzegłszy, że więzień otworzył oczy, wszedł do namiotu.

- Jestem Achmed Zek - oznajmił.

- A ty? Co robisz w moim kraju? Gdzie są twoi żołnierze?

- Achmed Zek! - Serce Werpera zakołatało na dźwięk tego imienia. Przecież znajdował się w rękach jednego z największych łotrów w całej Afryce: znanego wroga Europejczyków, a Belgów przede wszystkim! Przez całe lata belgijskie oddziały wojskowe starały się schwytać w zasadzkę

tego awanturника wraz z jego bandą - zawsze jednak wysiłki ich spełzały na niczym.

Jednak właśnie z powodu tej nienawiści Araba do Belgów w uciekinierze zabłysnął promyk nadziei. On także był przecież obecnie wyjętym spod prawa wyrzutkiem. W ten sposób dzielili identyczny los. Postanowił więc uderzyć w tę, wspólną im, strunę.

- Słyszałem o tobie - odparł. - I szukałem ciebie. Moi towarzysze obrócili się przeciwko mnie. Nienawidzę ich serdecznie. Teraz właśnie ich żołnierze ścigają mnie, by mnie zabić.

Wiedziałem, że mnie przed nimi obronisz, ponieważ także ich nienawidzisz. W zamian wstąpię do twojego oddziału. Jestem dobrze wyszkolonym żołnierzem, mogę dobrze walczyć. Twoi wrogowie są również moimi nieprzyjaciółmi.

Achmed Zek w milczeniu ogarnął spojrzeniem Europejczyka. Mnóstwo myśli przemknęło mu przez głowę; między innymi ta - iż słowa niewiernego psa są kłamliwe. Mógł on jednak również mówić prawdę - a w takim układzie propozycja jego była nie do pogardzenia ze względu na usługi, jakie jego bandzie mógł oddać trenowany w rzemiośle wojennym Europejczyk.

Achmed Zek spojrział na Belga posępnie. Werperowi zamarło serce z trwogi. Wreszcie Arab przemówił, cedząc powoli słowa:

- Jeśli mnie oszukałeś - rzekł - zamorduję cię, w każdej chwili! Czego więcej, oprócz pozostawienia cię przy życiu żądasz za swoje usługi?

- Na razie chodzi mi wyłącznie o utrzymanie - odparł Werper. - Później, jeśli się okaże, że masz ze mnie pożytek, dogadamy się co do wynagrodzenia.

W tej chwili jedynym pragnieniem Werpera było ocalenie własnego życia...

Tak więc umowa stanęła. Porucznik Albert Werper stał się członkiem bandy, rabującej kość słoniową i handlującej niewolnikami pod przewodnictwem słynnego Achmeda Zeka.

Przez długie miesiące Belg - renegat towarzyszył dzikim jeźdźcom pustyni. Wykazywał równą im zaciekłość w walce i okrucieństwo w zabijaniu - tak, że Achmed Zek, obserwujący

swego rekruta sępiim wzrokiem, nabrał w końcu do niego zaufania i nawet zaczął mu się zwierzać z własnych planów.

Między innymi Arab przemyślał od dawna projekt pewnej wyprawy, niezmiernie trudnej do przeprowadzenia. Przy pomocy Europejczyka mogła ona jednak zostać uwieńczona powodzeniem. Postanowił więc wybadać Werpera.

- Czy słyszałeś o człowieku, którego nazywają Tarzanem? - zapytał.

Werper kiwnął potakująco głową.

- Słyszałem o nim, jednak nie znam go wcale.

- Gdyby nie on, moglibyśmy bezpiecznie prowadzić nasz handel, z wielką dla nas korzyścią

- mówił dalej Achmed Zek. - Przez całe lata walczył z nami, wypędzając nas z najzasobniejszej części kraju, uzbrajając przeciwko nam czarnych, aby mogli nas przepędzić, gdy przyjeżdżamy tu w celach handlowych. Jest bardzo bogaty. Gdybyśmy mogli znaleźć sposób wyciągnięcia od niego części złota, nie tylko że zemścilibyśmy się na nim, ale jeszcze otrzymalibyśmy odszkodowanie za nasze nieudane wypadki na krajowców, nad którymi on roztacza opiekę.

Werper wyciągnął papierosa ze srebrnej papierośnicy i zapalił, zaciągając się głęboko.

- Czy masz jakiś plan, aby zmusić go do zapłaty? - zagadnął.

- Ma on żonę - odparł Achmed Zek - uważaną powszechnie za piękność. Gdyby Tarzan nie chciał wypłacić dostatecznego okupu, otrzymalibyśmy za nią sporą sumę na północy.

Werper opuścił głowę w zamyśleniu. Achmed Zek stał, czekając na odpowiedź.

Jakaś iskierka szlachetności tliła się jeszcze w sercu Alberta Werpera, gdyż mimo woli wzburzył się na myśl o sprzedaniu białej kobiety do arabskiego haremu. Spojrzał na Achmeda Zeka, którego źrenice zwęziły się złowrogo. - Domyślił się, że Achmed wyczuwa w nim opór. Co stałoby się, gdyby odmówił? Jego życie było przecież w rękach tego pół-barbarzyńcy, który cenił go sobie niewiele więcej niż psa. A Werper kochał życie. Kimże była dla niego ta kobieta? Była

przecież Europejką, członkiem cywilizowanego społeczeństwa - on zaś był wyrzutkiem! Ręka każdego białego człowieka była przeciwko niemu. Zatem ta kobieta też była jego wrogiem - a gdyby odmówił wzięcia udziału w jej zgubie, Achmed Zek niechybnie kazałby go zamordować.

- Wahasz się - rzekł Arab półgłosem.

- Rozwahałem tylko szanse powodzenia - skłamał Werper. - Poza tym zastanawiałem się, jaka będzie moja nagroda. Jako Europejczyk mogę mieć dostęp do ich domu. Nie masz nikogo innego, kto mógłby tyle zdziałać w tym zakresie, co ja. Powinienem otrzymać dobrą zapłatę, Achmedzie Zeku!

Uśmiech ulgi rozjaśnił oblicze Araba.

- Dobrze mówisz, Werperze - rzekł, klepiąc po ramieniu porucznika.

- Będzie ci się należała godziwa zapłata - i otrzymasz ją z pewnością. Ale teraz musimy spokojnie pogadać, naradzić się co do wykonania naszego zamiaru.

Rozsiedli się obydwaj w namiocie Achmeda i zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami.

Słońce i wiatr, na które był wystawiony, nadały Europejczykowi wygląd człowieka pustyni.

Na dodatek ubraniem, chodem i ruchami starał się wiernie naśladować swego zwierzchnika - tak, że trudno było nawet domyślić się jego pochodzenia.

Było późno, gdy wspólnicy rozeszli się wreszcie na spoczynek.

Nazajutrz Werper spędził cały dzień przerabiając swój mundur na cywilne ubranie sportowe. Achmed Zek ze stosu skradzionych rzeczy wyszukał dla niego hełm w rodzaju tych, jakie noszą myśliwi w Afryce. Wybrał mu również spośród swych czarnych niewolników dziesięciu zaufanych i sprytnych ludzi, jako świtę, oraz kilku chłopców przeznaczonych do noszenia pakunków; tak, aby mógł sprawiać wrażenie myśliwego, polującego na dzikie zwierzęta. Na czele tej właśnie drużyny Werper opuścił nazajutrz obóz Araba.

Rozdział II

W drodze do Oparu

W dwa tygodnie później John Clayton, Lord Greystoke, wracając z objazdu swych rozległych afrykańskich włości zauważył oddział ludzi, przejeżdżający równinę rozciągającą się pomiędzy jego fermą a dżunglą - z północy na zachód.

Wstrzymał konia, przypatrując się jeźdźcom. Jego przenikliwy wzrok dostrzegł w oddali biały hełm, w którym odbijały się promienie słońca. Przekonany, że wędrowny myśliwiec - Europejczyk - szuka u niego gościnności, skierował konia w stronę oddziału na spotkanie przybyszów.

Pół godziny później wstępował po schodkach werandy swego domu, przedstawiając żonie pana Julesa Frecoult.

- Zabłądziłem haniebnie - objaśniał Frecoult. - Mój główny przewodnik nie był nigdy w tej okolicy, zaś dwaj ludzie, których dobraliśmy w ostatniej wiosce dla pokazania nam drogi, orientowali się jeszcze mniej od nas. W końcu porzucili nas niespodziewanie. Jestem szczęśliwy, że natrafiłem na pomoc. Nie wiem co bym począł, gdyby nie pan.

Postanowiono, że Frecoult i jego ludzie zatrzymają się na kilka dni u Lorda Greystoke'a, a gdy wypoczną wystarczająco, miejscowi przewodnicy odprowadzą ich z powrotem.

W roli francuskiego gentelmana Werper z łatwością zdołał wprowadzić w błąd gospodarza.

Udało mu się nawet wejść w bliższe stosunki z Tarzanem i Jane Clayton. Im dłużej jednak przebywał wśród nich, tym mniejszą miał nadzieję na to, by udało mu się przeprowadzić zamierzony plan. Lady Greystoke nie wyjeżdżała nigdy z farmy samotnie, zaś dzikie przywiązanie Wazyków - wojowników, stanowiących główną część służby Tarzana - zdawało się wykluczać jakąkolwiek możliwość porwania jej, jak również przekupienia kogokolwiek z otaczających ją czarnych.

Upłynął tydzień, a Werper nie był bliższy realizacji swego zamiaru niż w chwili przyjazdu

na miejsce. Jednak zaszła pewna okoliczność, która ponownie wzbudziła w nim nadzieję na powodzenie, nasuwając dodatkowo myśl o jeszcze większym zysku, niż gdyby wypełnił jedynie plan Achmeda Zeka.

Na farmę przybył goniec z tygodniową pocztą i Lord Greystoke spędził całe popołudnie na czytaniu oraz pisaniu listów. Podczas obiadu wyglądał na wielce roztargnionego; zaś wczesnym wieczorem, wytłumaczywszy się zmęczeniem, udał się do swego gabinetu, dokąd niebawem podążyła za nim i piękna Lady Greystoke.

Do Werpera, siedzącego na werandzie, dolatywały ożywione głosy gospodarzy. Czując, że dzieje się coś ważnego uniósł się cicho z krzesła i zakradł chyłkiem pod otwarte okno gabinetu, ukrywając się w cieniu gęstych, rosnących wokół domu krzewów.

Tu nadstawił ciekawie ucha. Już pierwsze podsłuchane zdania wzbudziły w nim niezwykle podniecenie.

- Zawsze miałam wątpliwości co do solidności tej firmy - mówiła Lady Greystoke. -

Wydaje mi się jednak nie do wiary, aby mogła ona zbankrutować aż na tak znaczną sumę. Chyba, że wchodzi tu w grę jakieś oszustwo!

- I ja tak podejrzewam - dodał Tarzan.

- W każdym razie, z jakiegokolwiek powodu nastąpił ten krach, faktem jest, iż straciłem wszystko! Nie ma innej rady; wrócić do Oparu i zabrać stamtąd więcej klejnotów!

- Ach, Johnie - zawołała Lady Greystoke głosem, w którym Werper wyczuł drgnienie niepokoju - czyż nie ma innego sposobu? Nie potrafię znieść myśli o twojej ponownej wyprawie do tego przeklętego miejsca. Wolałabym zawsze żyć w nędzy, niż pozwolić ci narażać się na straszne niebezpieczeństwa Oparu.

- Nie musisz się obawiać - odparł, śmiejąc się, Tarzan.

- Potrafię chyba dać sobie radę. Zresztą - moi wierni Wazyrowie, którzy mi będą

towarzyszyć, ustrzegą mnie od krzywdy.

- Przecież już raz uciekli z Oparu, zostawiając cię na pastwę losu - przypomniała mu żona.

- To się już z pewnością nie powtórzy - odpowiedział. - Później wstyd im było tego postępuku; gdy wychodziłem z Oparu, spotkałem całą gromadę dążącą mi na ratunek. Zawstydzili się bardzo własnej ucieczki.

- Ależ możliwe jest chyba jakieś inne wyjście! - nalegała Jane.

- Nie ma innego, równie łatwego sposobu zdobycia w krótkim czasie wielkiego majątku, jak udać się do Oparu i zabrać garść klejnotów, znajdujących się w tamtejszych podziemiach - odparł Tarzan.

- Będę bardzo ostrożny Jane! Prawdopodobnie mieszkańcy Oparu nigdy nawet się nie dowiedzą o moim powtórny tam przybyciu i pozbawieniu ich części skarbu, którego istnienia nawet się nie domyślają; tak, jak nie domyśliliby się prawdziwej wartości klejnotów, gdyby nawet wpadły w ich ręce!

Stanowcze brzmienie jego głosu przekonało Jane, iż nic nie wskóra swymi rozmowami na ten temat.

Werper nasłuchiwał przez chwilę, następnie wycofał się z kryjówki w obawie, aby go nie dostrzeżono. Powrócił na werandę, paląc papierosy - jeden po drugim - w radosnym podnieceniu.

Nazajutrz, podczas śniadania, Werper oznajmił swój zamiar rychłego odjazdu. Poprosił Tarzana o pozwolenie polowania na grubszą zwierzynę w krainie Wazyrów. Lord Greystoke udzielił mu go chętnie.

Dwa dni strawił Belg na przygotowaniach do podróży; wreszcie opuścił farmę ze swymi ludźmi, w towarzystwie jednego Wazyra, przewodnika - użyczonego mu przez Lorda Greystoke'a.

Gromada przebyła zaledwie kilka kilometrów, gdy Werper, udając chorobę, polecił rozbić namioty.

Odesłał Wazyra mówiąc mu, iż przyśle po niego, gdy tylko poczuje się zdolny do dalszej

wędrówki. Gdy wojownik oddalił się, Belg wezwał jednego z najbardziej zaufanych ludzi Achmeda Zeka. Wysłał go z powrotem w stronę farmy Greystoke'ów rozkazując mu, by śledził Tarzana; gdy tylko zauważy, w jakim kierunku Anglik ruszy w drogę, ma wracać natychmiast z tą wiadomością do obozu.

Belg nie potrzebował nawet długo czekać na wiadomości, już bowiem nazajutrz posłaniec wrócił donosząc, że Tarzan na czele pięćdziesięciu Wazyrów wyruszył wczesnym rankiem w kierunku południowo-wschodnim.

Werper przywołał głównego przewodnika i, wręczywszy mu list, powiedział:

- Wyślij natychmiast gońca z tym pismem do Achmeda Zeka. Sam pozostaniesz tu, w obozie i będziesz oczekiwał na dalsze rozkazy moje lub Achmeda. Gdyby ktokolwiek z farmy Greystoke'ów chciał się ze mną widzieć powiesz, że leżę w namiocie obłożnie chory i nie przyjmuję nikogo. Teraz wybierz mi sześciu najwytrwalszych tragarzy i sześciu najbitniejszych askarów; chcę z nimi udać się w ślad za Anglikiem aby odkryć miejsce, w którym są zakopane jego skarby.

Gdy Tarzan, odziany na swój ulubiony sposób tylko w lamparcią skórę i uzbrojony w myśliwski nóż, włócznię oraz lasso prowadził dzielnych Wazyrów w stronę wymarłego grodu Oparu, Werper szedł w ślad za nim przez długie i skwarne dni. W nocy rozbijał obóz w pobliżu jego legowiska.

Tymczasem Achmed Zek z całą swoją drużyną, pędził na południe do farmy Greystoke'ów.

Dla Tarzana wyprawa ta stanowiła niemalże niedzielną wycieczkę. Jego cywilizowanie i ogłada towarzyska były tylko zewnętrznym pancerzem i gdy tylko nadarzała się ku temu sposobność, z chęcią zrzucał je z siebie, razem z niewygodną europejską odzieżą. Jedynie miłość do ukochanej żony skłaniała Tarzana do zachowywania pozorów ucywilizowania; w głębi serca czuł on jednakże pogardę dla hipokryzji i fałszu, panujących w tzw. sferach towarzyskich; nawet

piękne przejawy życia, jak muzyka i literatura, uważał on nie za owoce kultury, ale pierwiastki, które przetrwały, pomimo jej szkodliwego wpływu.

- "Pokażcie mi choćby jednego tłustego, opływającego w zbytki tchórza - mawiał - który kiedykolwiek zdołał wydać z siebie jakąkolwiek podniosłą ideę. Tylko wśród szczęku broni, głodu i niebezpieczeństw, w walce o byt, wobec grozy śmierci... w obliczu Boga, wcielonego w najpotężniejsze siły natury, budzą się najszlachetniejsze uczucia i rodzą najszczytniejsze ludzkie myśli!"

Dlatego Tarzan powracał z utęsknieniem na łono przyrody; niby kochający syn po długiej rozłące z matką.

W rzeczywistości jego Wazyrowie przewyższali go poziomem cywilizacji; nie jadali innego mięsa jak pieczone - podczas gdy ulubionym pokarmem Tarzana było mięso surowe, przesycone wonią krwi, chociaż ze względu na pozory wstydział się wobec swych poddanych oddawać temu upodobaniu. Z tych samych przyczyn polował używając łuku lub włóczni, zamiast rzucać się na zwierzyńnię z nienacka - zatapiając swe mocne zęby w gardle upatrzonej ofiary...

W końcu odezwały się w nim pierwotne instynkty, które jako niemowlę wyssał z piersi swej dzikiej matki mlecznej, Kali. POżądał gorącej krwi świeżo rozszarpanej zwierzyny; muskuły przeżyły mu się pragnieniem zmagania z potęgą dzikiej dżungli, w której ustawiczna walka o byt stanowiła dlań jedyne prawo istnienia przez pierwsze dwadzieścia lat życia.

Rozdział III

Wezwanie dżungli

Pod działaniem tych przytłumionych, a jednak tak silnych instynktów człowiek-małpa przewracał się pewnej nocy na swym posłaniu z traw w obrębie małej ciernistej "bomy", stanowiącej względną ochronę dla małej karawany przed ewentualną napaścią wielkich drapieżników z dżungli.

Jeden z wojowników stał na wpół drzemiąc, na warcie; od czasu do czasu podsyczał ogień, niezbędny dla odstraszenia dzikich zwierząt, których żółte ślepia połyskiwały z oddali w ciemnościach. Wycia i ryki wielkich kotów, zmieszane z odgłosami innych, mniejszych mieszkańców dżungli, rozniecały coraz gorętszy płomień w sercu angielskiego dzikiego Lorda. Wreszcie, nie mogąc zasnąć zerwał się z posłania. Cichutko, niby widmo, przeskoczył przez ciernistą bomę i wdrapał się na rosnące opodal rozłożyste drzewo, niedostrzeżony nawet przez odwróconego doń plecami, czarnego wojownika.

Rozpoczął swą ulubioną wędrówkę po olbrzymich drzewach w dżungli, przeskakując z rozkoszą z gałęzi na gałąź. Wreszcie wspiał się na wierzchołek jednego z drzew i zawisnął tam przez chwilę zwracając twarz do Gora. * Wyciągnął rękę, jak gdyby pozdrawiając bladego królewicza nocy. Na wargach zadrżał mu okrzyk małpiego samca, jednak powstrzymał się od wydania go z obawy, by nie zbudzić czujności swych wiernych Wazyrów, którym znane były dobrze straszliwe instynkty władcy dżungli.

W języku Tarzana oznacza to księżyc.

Posuwał się naprzód z jeszcze większą ostrożnością niż wcześniej - teraz bowiem tropił zwierzynę. Powoli Tarzan zsunął się na ziemię i jął skradać się w ciemnościach, wśród wysokich krzewów i gęstych traw, dokąd nie dochodziły nawet promienie księżyca. Od czasu do czasu kładł się na ziemi i węszył dookoła. Wreszcie starania jego zostały wynagrodzone, natrafił bowiem na trop Bary. * Obliznął się mimowolnie, a z jego arystokratycznych warg wydobył się głuchy pomruk. Opadły z niego ostatnie ślady cywilizacji, był w owej chwili znowu tylko pierwotnym człowiekiem-łowcą. Wśród rozlicznych odcisków, pozostawionych przez ciężkie łapy większych drapieżników rozeznawał, z dziwną przenikliwością, jędrne i głębokie ślady pozostawione przez chyże nogi jelenia.

W języku Tarzana oznacza to jelenia.

Niebawem rozchodząca się woń smukłego rogacza przekonała go, że ofiara znajduje się niedaleko. Tarzan wspiał się znów na drzewo. Zręcznymi skokami posuwał się w stronę, z której dochodził ów zapach. Nie upłynęło wiele czasu, gdy człowiek-małpa spostrzegł Barę, stojącego na oblanej księżycowym światłem polance. Przesunął się na drzewo, rosnące tuż nad miejscem, gdzie stał jeleń - i skoczył zniecka na nic nie podejrzewającego złego Barę, który pod niespodziewanym ciężarem ukląkł na ziemi. Zanim zdołał się podnieść, Tarzan zanurzył mu nóż w serce. W chwili gdy, stojąc na ciele swej ofiary, zamierzał wydać swój zwycięski okrzyk, wiatr przyniósł jego nozdrzom nową woń, która zmusiła go do milczenia. Jego dzikie oczy uparcie wpatrywały się w stronę, skąd nadchodziła. W parę minut później rozstąpiły się tam właśnie wysokie trawy i Numa * wstąpił na scenę majestatycznym krokiem. Żółto-zielone ślepia zwierza utkwione były w Tarzanie. Wzrok ten wyrażał zazdrość wobec szczęśliwego łowcy, lew bowiem tej nocy nie miał szczęścia.

W języku Tarzana określenie Numa oznacza lwa.

Z ust człowieka-małpy wydobył się groźny pomruk... Numa również odpowiedział mručeniami, stojąc ciągle w miejscu. Machał tylko z wolna ogonem. Tarzan, rzuciwszy się na swój łup, wykroił z niego spory kawał, nie przestając groźnie mruścić między jednym a drugim kęsem. Numa patrzył z coraz bardziej nasilającą się wściekłością. Lew nie miał nigdy przedtem styczności z Tarzanem i był nim mocno zaintrygowany. Oto widział istotę o ludzkim wyglądzie i zapachu, z doświadczenia zaś wiedział iż mięso ludzkie, aczkolwiek nie należy do najprzedniejszych gatunków, jest łatwe do zdobycia. Zbijały go jednak z tropu pomruki owego dziwnego stworzenia, przypominające mu jego zaciętych, długorękich wrogów. Dlatego właśnie nie rzucił się z miejsca na szczęśliwego łowcę, choć woń przesiąkniętego krwią mięsa Bary doprowadzała go nieomal do szaleństwa. Tarzan nie spuszczał Numa z oka, zgadując dobrze co działo się w jego mózgu. Wreszcie lew, straciwszy cierpliwość, przestał machać ogonem. Człowiek-małpa rozumiejąc

dobrze co to mogło znaczyć, chwycił w zęby resztę jeleniego uda i dał susa na drzewo, właśnie w chwili gdy Numa rzucił się nań z szybkością mknącej strzały.

Nie oznaczało to bynajmniej lęku ze strony Tarzana. Życie w dżungli toczy się według prawideł, różniących się od zasad panujących w naszym życiu. Gdyby Tarzan czuł się zgłodniały, byłby niewątpliwie napadł, tak jak to zdarzyło się już nieraz, i na lwa. Tym razem jednak pożywił się do syta, dlatego schronił się na drzewo, spoglądając jedynie z niechęcią na Numę, który zabierał się do pożarcia resztek jego zdobyczy. Postanowił lwa ukarać. Przeskoczył na sąsiednie drzewo, na którym rosły twarde, okrągłe owoce. Bez obawy jął ciskać nimi we lwa. Zwierzę, skowycząc z bólu, zmuszone było przerwać ucztę. Wkrótce jednak lew zamilkł i, stanąwszy między drzewami ocieniającymi polankę jął wyraźniej węszyć nową zwierzynę. Człowiek-małpa, otarłszy zatłuszczone palce o swe nagie biodra puścił się, skacząc z drzewa na drzewo, w ślad za Numą. Już wkrótce obydwaj, dziki kot i dziki człowiek, jednocześnie prawie dostrzegli zwierzynę, o której bliskości powiadomiły ich już wcześniej wrażliwe nozdrza.

Był nią czarny człowiek. Tarzan rozpoznał po woni, że to starzec. Istotnie, wkrótce z gęstwiny wyłonił się zgarbiony, brzydki, zwiędły staruszek: cały wytatuowany, okryty skórą hieny. Tarzan rozpoznał po kolcach, które ten nosił w uszach, że był to czarownik. Wyczekiwał teraz ataku Numy na starca z obojętnością, albowiem nie czuł zgoła sympatii do czarowników. Niebawem jednak przypomniał sobie, że Numa właśnie przywłaszczył sobie bezprawnie resztę jego łupu. Zatem w chwili, gdy lew chwycił już swymi kłami nieszczęsnego czarownika, człowiek-małpa spadł kotu na grzbiet, zanurzając swój nóż pomiędzy jego żebra. Jednocześnie swe mocne zęby zatopił w karku wijącego się już z bólu zwierzęcia.

Przez chwilę trwała walka. Lew szamotał się, rycząc wściekle i usiłując daremnie pozbyć się okrutnej istoty, siedzącej mu na grzbiecie. Tarzan nie wypuszczał go ze swego uścisku ani nie odrywał zębów od jego karku, wiedząc dobrze, iż gdyby choć na chwilę je rozluźnił, dostałby się

niechybnie w moc zranionego, niemniej jednak groźnego króla zwierząt. Czarownik, leżąc bezwładnie w miejscu, w którym go napadł lew, przypatrywał się osłupiałym wzrokiem tym zapasom - nie mogąc pojąć, kim była owa dziwna istota walcząca z potężnym Simbą. Brał ją za jakiegoś bożka dżungli. Nagle oczy czarownika zabłyśły jakimś odległym wspomnieniem. Przypomniał sobie nagle, że przed laty widział już takie samo zjawisko. Wówczas jednak owa istota była białoskórym młodzieńcem, bujającym się w gałęziach drzew w towarzystwie gromady wielkich małp.

Gdy zwyciężony Simba leżał martwy na ziemi a bożek dżungli, stanąwszy na jego cielsku, wydał straszliwy okrzyk zwycięstwa, stary Murzyn uznał, że jego ostatnia godzina nadeszła. Bardziej nawet lękał się śmierci z rąk owej białoskórej istoty niż tej, jaka mu groziła w łapach martwego już teraz lwa.

Rozdział IV

Przepowiednia się sprawdza

Wreszcie Tarzan zwrócił uwagę na leżącego bezwładnie staruszką. Nie zabił bynajmniej Numy w chęci ocalenia życia Murzynowi; teraz jednak, widząc go bezbronnego i cierpiącego, w swym dzikim sercu poczuł coś w rodzaju litości. Dawniej byłby bez wahania dobił starego czarownika. Cywilizacja jednak zrobiła swoje; zmiękczyła i złagodziła jego krwiożercze instynkty, nie czyniąc go bynajmniej tchórzliwym. Pochylił się nad dyszącym resztkami sił starcem; obmył mu rany, tamując tryskającą z nich obficie krew.

- Kim jesteś? - zagadnął drżącym głosem starzec.

- Jestem Tarzan. Małpi Tarzan! - odparł człowiek-małpa z większą dumą, niż gdyby wymówił swoje nazwisko rodowe: "John Clayton, Lord Greystoke"...

Czarownik zadrżał konwulsyjnie, przymykając oczy. Gdy je otworzył znowu, w jego spojrzeniu malowała się tępa rezygnacja wobec okrutnej śmierci, jakiej spodziewał się niechybnie z

rąk straszego leśnego diabła.

- Czemu mnie nie dobijasz? - zapytał.

- Dlaczegoż miałbym cię zabić? - odpowiedział pytaniem Tarzan.

- Nie skrzywdziłeś mnie przecież, a śmierć już i tak na ciebie czyha. Przyniósł ci ją Numa.

- Nie zabijesz mnie więc? - głos starca zadrżał niekłamany zdumieniem.

- Ocaliłbym cię, gdybym tylko mógł. Ale, niestety, życie uchodzi z ciebie. Dlaczego posądzasz mnie o pragnienie zadania ci śmierci?

Starzec milczał przez chwilę. Wreszcie, zebrawszy ostatek sił, przemówił:

- Znałem cię za dawnych czasów, kiedy chadzałeś po dżungli razem z wodzem Mbongą.

Byłem już znachorem wówczas, gdy powaliłeś Kulongę i jego gromadę, gdy okradał nasze chaty i porywał nasze garnki z trucizną. Z początku nie poznałem ciebie, ale później przypomniałem sobie wszystko. Wszak jesteś ową białoskórą małpą, która mieszkała z małpami kosmatymi i dręczyła mieszkańców wioski Mbongi. Ty jesteś owym leśnym bożkiem; zwaliśmy cię "Munango Keewati". Wystawialiśmy ci żywność przed progiem naszych chat, żywność, którą spożywałeś chętnie. Powiedz mi - zanim skonam - jesteś człowiekiem czy diabłem?

- Jestem człowiekiem! - odpowiedział z uśmiechem Tarzan.

Starzec westchnął, potrząsając głową.

- Staraleś się wyrwać mnie z pazurów Simby - rzekł - chcę cię więc za to wynagrodzić.

Jestem znachorem, czarownikiem. Posłuchaj mnie więc, biały człowieku! Widzę dni klęski, zbierające się nad twoją głową. Pisane to jest w twojej własnej krwi, którą umazałem teraz moją dłoń. Bożek, potężniejszy od ciebie powstanie i pokona cię, mocarzu! Zawróć z drogi, Munango Keewati! Zawróć, zanim będzie za późno. Wielkie niebezpieczeństwo za tobą, jednakże straszniejsze jest to, które cię czeka... Widzę... - Tu urwał, westchnął głęboko, a wraz z westchnieniem uleciało zeń życie. Pobudzona ciekawość Tarzana nie została zaspokojona.

Było już późno, gdy człowiek-małpa powrócił do bomy i ułożył się na spoczynek. Jego nieobecność przeszła niespostrzeżenie, wojownicy chrapali smacznie w swych legowiskach. Tarzan leżał teraz cicho, rozmyślając nad słowami czarownika...

Groźna przestroga w nich zawarta nie skłoniła go jednak do zaniechania wędrówki. Gdyby mógł przewidzieć, na jak straszne niebezpieczeństwa zostanie narażona najdroższa mu istota - bez wahania podążyłby w stronę farmy, nie myśląc o wydobyciu złota ukrytego w pieczarach Oparu. Tego ranka inny biały człowiek, ukryty w pobliżu bomy zastanawiał się nad czymś, usłyszonym dzisiejszej nocy. Omalże chciał się wyrzec swego postanowienia i wrócić tam, skąd przyszedł. Był to Werper, morderca. Usłyszawszy w nocy zwycięski okrzyk małpiego samca, wydany przez Tarzana, przejęty został zabobonnym lękiem. Od ucieczki powstrzymał go jedynie strach przed zemstą okrutnego Achmeda Zeka.

Tymczasem małpi Tarzan kroczył uparcie naprzód, w stronę ruin Oparu. Za nim zaś, niby szakał, skradał się Werper. Jedynie Bóg wiedział tylko, jakie tych dwóch wędrowców czekają koleje...

Tarzan przystanął na skraju doliny, skąd widać było złocone kopuły i minarety Oparu. Chcąc zachować należyłą ostrożność, postanowił udać się do jaskini skarbów dopiero o zmroku. Wyruszył więc nocą. Werper, który wspinał się po skałach w ślad za człowiekiem-małpą, w ciągu dnia zaś ukrywał się wśród kamieni górskich szczytów, postępował i teraz jego tropem. Kamienie, którymi była obsiana dolina, tudzież wielkie bloki granitu, okalające wymarły gród Oparu, stanowiły wygodną osłonę dla Belga, posuwającego się z wolna w ich cieniu. Wreszcie ujrzał jak olbrzymi człowiek-małpa, wspiąwszy się na wierzchołek stromej skały, spuścił się zeń i w końcu znikł mu z oczu. Sapiąc i dysząc, Werper wgramolił się na skałę i jął rozglądać się dokoła. Chciał wypatrzeć kryjówkę, do której udał się Tarzan, by później sprowadziwszy swoich ludzi, obłowić się schowanymi w niej skarbami.

Niebawem zauważył wąską szczelinę w skałach, a w niej wykute stopnie, na których widać było ślady wielu wieków. Szczelina ta prowadziła w samą głębię granitowego wału. Werper ukrył się za kupą kamieni, by nie być spostrzeżonym przez Tarzana, który mógł nadejść niespodziewanie.

Tymczasem człowiek-małpa, wyprzedziwszy go znacznie, schodził po stopniach szczeliny.

Wreszcie doszedł do starych drewnianych drzwi, które otworzył. Znalazł się wkrótce we wnętrzu skarbcza gdzie, przed wiekami, ręce dawnych mieszkańców tej krainy ułożyły starannie sztaby złota, przeznaczone dla władców owego rozległego lądu zalanego obecnie przez fale potężnego Atlantyku. Żaden głos nie mącił ciszy tej podziemnej kryjówki. Nie było tu śladu obecności ludzkiej od czasu ostatniego pobytu Tarzana. Wreszcie, zadowolony, powrócił na wierzchołek skały.

Werper ze swej kryjówki widział jak kierował się teraz w stronę zbocza góry stojącej naprzeciw doliny, w której Wazyrowie oczekiwali na znak od swego pana. Wówczas wyszedł z ukrycia i, namacawszy nogą stopnie ukryte w szczelinie, zapuścił się w jej mroki.

Człowiek-małpa, stanąwszy na zrębie zbocza, wydał trzy razy ryk typowy dla zgłodniałego lwa. Po trzecim, z oddali doleciał go taki sam. To Basuli, dowódca Wazyrów, posłyszał wezwanie swego pana i przesłał mu odpowiedź.

Tarzan wrócił teraz do skarbcza. Wiedział, że w ciągu paru godzin nadejdą czarni wojownicy, aby zabrać nowe zapasy złota.

Sześć razy odbył drogę do skarbcza i z powrotem, przenosząc po osiem sztab naraz, nie uginając się nawet pod brzemieniem ciężaru. Gdy wreszcie nadeszli czarni wojownicy, u wejścia do pieczary leżało już czterdzieści osiem sztab. Z kolei Wazyrowie weszli do skarbcza i wynieśli stamtąd kolejne pięćdziesiąt dwie sztuki; razem więc zostało zgromadzonych sto ciężkich sztab szczerego złota. Tę właśnie, miliardową fortunę, Tarzan zamierzał przewieźć do swojej farmy.

Po tym, gdy ostatni z Wazyrów wyszedł z pieczary, człowiek-małpa powrócił tam jeszcze, aby po raz ostatni spojrzeć na owe cuda ukryte przed ludzką chciwością. Na krótko pograżył się w zadumie. Przed oczami stanęły mu przeżyte tutaj chwile. Jego pierwsze wejście do skarbcza, który odkrył przypadkiem, uciekając z podziemi, gdzie został uwięziony przez La, kapłankę czcicieli Słońca. Teraz ponownie przypominał sobie, jak leżał na kamiennym ołtarzu, przeznaczony na ofiarę dla okrutnego bożka. Widział piękną La, stojącą nad nim z nożem ofiarnym, gotową wymierzyć mu śmiertelny cios. Słyszał radosny pomruk otaczających ją kapłanów i kapłanek wyczekujących, aż wytryśnie z niego krew, którą będą mogli pić ku czci swego płomiennego bożka.

Potem brutalna przerwa wywołana przez Tha, szalonego kapłana żądnego krzywdy kapłanki La. Jego śmierć pod morderczym ciosem, zadany mu przez Tarzana, który - widząc niebezpieczeństwo grożące La - wyrwawszy z jej dłoni nóż ofiarny, zanurzył go bez wahania w pierś szaleńca. Po czym, korzystając z powszechnego oszołomienia, rzucił się do ucieczki. Wszystkie te sceny plastycznie ukazywały się teraz zadumanemu wędrowcowi. Zaczął się zastanawiać: "Czy La dotychczas jeszcze rządzi świątyniami wymarłego miasta...". Wreszcie, zgasiwszy uprzednio świecę, zwrócił się ku wyjściu.

Ukryty szpieg tymczasem wyczekiwał na jego odejście, aby sam, posiadłszy już tajemnicę, wrócić do swych ludzi i wraz z nimi wybrać z pieczary znaczną część skarbów.

Wazyrowie wydostali się właśnie z pieczary i gramolili się na skałę. Tarzan, otrząsnąwszy się z zadumy, powoli skierował się za nimi.

Skulony w cieniu pieczary Werper podniósł się z ukrycia. Z lubością podniósł sztabkę złota, gładząc ją chciwie rękami. W myśli liczył już swoje bogactwa i snuł przeróżne plany na przyszłość.

Tarzan marzył już o radosnym powrocie do domu i uścisku drogich ramion, oplatających mu szyję. Jednocześnie jednak zabrzmiała mu w uszach złowroga wróżba starego znachora.

Wówczas to, w przeciągu kilku sekund, nadzieje owych dwóch ludzi zostały rozwiane; jeden bowiem w przystępie trwogi, zapomniał o własnej chciwości. Drugi pogrążony został w mroki zupełnego zapomnienia: oto kawał skały oderwawszy się od sklepienia spadł mu na głowę, ciężko go raniąc i pozbawiając przytomności...

Rozdział V

Ołtarz płomiennego bożka

Stało się to w chwili gdy Tarzan, zamknąwszy drzwi za sobą, skierował się w stronę wyjścia. Nagłe trzęsienie ziemi wstrząsnęło posadami pieczary. Wielkie granitowe bloki odpadając od sklepienia zatarasowały szczelinę służącą za przejście. Pod ciężarem spadającego kamienia Tarzan upadł w tył, na drzwi, które ustąpiły pod jego ciężarem - tak, że jego ciało potoczyło się bezwładnie na środek skarbcza.

Pieczara ucierpiała stosunkowo niewiele wskutek trzęsienia: kilka sztabek złota stoczyło się z górnych warstw ścian, słychać było głuche trzaski w sklepieniu. Niebawem zresztą wszystko ucichło, a kataklizm nie powtórzył się już więcej. Werper, rzucony na ziemię gwałtownością wstrząsu, przyszedł wkrótce do siebie. Przekonawszy się, że nie poniósł szwanku, powoli stanął na nogi.

PO omacku doszedł do przeciwległego krańca pieczary szukając świecy, pozostawionej tam przez Tarzana. Już bowiem ze swego ukrycia jak Lord Greystoke, zgasiwszy świecę, umieścił ją na jednej z wystających ze ściany sztabek złota.

Przy pomocy zapalek odnalazł ją wreszcie, zapalił i ją rozglądać się na wszystkie strony w poszukiwaniu możliwości ucieczki. Oswoiwszy się z mdłym światłem rzucanym przez ogarek zauważył w otwartych drzwiach Tarzana, leżącego bezwładnie w kałuży krwi, sączącej mu się z rany na głowie.

Nie zatrzymując się nawet na chwilę, aby przekonać się, czy Tarzan żyje, Werper wysliznął

się przez drzwi na korytarz. Tam jednak zastał przejście zatarasowane odłamami skał i zwałami gruzu.

Wrócił tedy do pieczary i zaczął starannie obmacywać ściany w poszukiwaniu innego wyjścia. Wkrótce zauważył naprzeciwko pierwszych drzwi inne, nieco węższe. Te, pod gwałtownym naciskiem, wyskoczyły - skrzypiąc - z zawiasów. Ukazał się wąski korytarz i szereg schodów wykutych w skale, prowadzących na górne piętro.

U krańca tunelu zauważył, w migotliwym blasku świecy, ocembrowaną studnię, dokładnie zagradzającą dalszą drogę. Poza studnią rozciągał się dalej tunel. - Ale jak się tam dostać? Trwał przez chwilę w niepewności, ważąc w sobie czy spróbować skoku, który tak łatwo mógł się okazać śmiertelnym.

Gdy tak zastanawiał się co przedsięwziąć, do uszu jego doleciał przeraźliwy krzyk, niczym wrzask potępieńca dręczzonego przez szatany.

Belg zadrzał i spojrzał w górę; zdawało mu się bowiem, że głos dochodził stamtąd.

Przekonał się natychmiast, że wysoko nad nim znajduje się otwór, przez który dostrzec można było kawałek gwiazdzistego nieba. Usłyszawszy ów głos, tak niesamowity i straszny, zaniechał zamiaru wołania o pomoc.

Postanowił przeskoczyć studnię. W rozpaczliwym odruchu cofnął się w tył, aby nabrać rozpędu. Ruszył. Przez chwilę zawisnął w próżni - pęd powietrza zgasił ogarek, który trzymał w ręku - jednakże szczęśliwym trafem udało mu się studnię przeskoczyć. Stał po przeciwległej stronie tunelu.

Zapaliwszy świecę, poczuł się nieco raźniej. Ciągle jeszcze jednak odczuwał trwogę przed owym straszliwym głosem, usłyszonym przed chwilą.

Uszedł zaledwie kilka kroków, gdy napotkał z kolei szeroką kamienną ścianę, zamykającą tunel od góry do dołu. Zaczął uważnie oglądać zaporę. Ku swej radości przekonał się, że tworzące

ją kamienie nie były spójone wapnem ani cementem. Udało mu się więc wyjąć jeden z nich, następnie więcej, aż wreszcie w murze ukazał się dość znaczny otwór. Przez ten otwór Werper dostał się do niskiej pieczary. Tam znowu drzwi zamykały dalsze przejście. Zdołał je wyważyć i wyszedł do długiego, ciemnego korytarza. Ogarek wypalił mu się do szczętu, zmuszony był więc szukać drogi po omacku. Wreszcie, wyczerpany strachem i wysiłkami, padł na ziemię - zapadając w głęboki sen.

Przebudziwszy się, nie zauważył żadnej zmiany w panujących dookoła ciemnościach.

Przypuszczał tylko, że musiało to trwać kilka godzin, czuł się teraz bowiem pokrzepiony, ale i zgłodniały.

Znowu posuwał się naprzód po omacku. Tym razem jednak, pokonawszy zaledwie niewielką przestrzeń, znalazł się w komnacie, do której światło wpadało przez otwór w sklepieniu. Od góry ciągnęły się ślimakowate schody, łączące w widoczny sposób podziemia ze światem zewnętrznym.

Przez ten właśnie otwór Werper ujrzał masywne kolumny, stojące w blasku słońca, okręcone bluszczem. Zaczął nasłuchiwać, ale usłyszał jedynie szelest wiatru i paplaninę małp. Śmiało wstąpił na schody i wyszedł wreszcie na kolisty dziedziniec. Tuż przed nim stał kamienny ołtarz z krwawo-rdzawymi plamami, których znaczenie Werper miał sobie niebawem uświadomić. W murach okalających dziedziniec Belg odkrył liczne drzwi. Nad drzwiami, wokół dziedzińca, widać było otwarte balkony. Ptaki o barwnym upierzeniu przelatywały wśród kolumn i galerii; nie było jednakże śladu obecności ludzkiej. Werper doznał uczucia ulgi; westchnął, jak gdyby wielki ciężar spadł mu z serca. Podeszedł do jednych z licznych drzwi - gdy wtem stanął jak wryty, oniemiały z trwogi i zdumienia. W tej samej bowiem chwili rozwarły się podwoje wszystkich dwanaściorga drzwi, a horda straszliwych ludzi wypadła na podwórze.

Byli to kapłani Płonącego Bożka Oparu; ci sami szpetni, wstrętni ludzie, którzy przed laty

złożyli Jane Clayton na ołtarzu ofiarnym. Nadmiernie długie ręce i krótkie, kabłąkowane nogi, złośliwe, wklęsłe oczka oraz niskie czoła nadawały im wygląd zwierzęcy, który przejął Belga śmiertelną trwogą.

Z okrzykiem rzucił się do ucieczki; ale straszni ludzie, uprzedzając jego zamiary zagrodzili mu drogę. Schwycili go i, choć padł przed nimi na kolana błagając o litość, zaciągnęli do świątyni.

Tam nastąpiło powtórzenie tego, co już kiedyś spotkało Tarzana i Jane Clayton. Nadeszły kapłanki, wraz z nimi arcykapłanka La. Werper został skrupowany i położony na ołtarzu. Zimny pot spływał z niego kroplami, gdy La podnosiła nad nim swój okrutny nóż ofiarny. W jego uszach zabrzmiał śpiew śmierci, nucony monotennie przez sługi Płomiennego Bożka. Błędnym wzrokiem spoglądał na złote czary, które wkrótce miały zostać napełnione jego krwią. W myśli pragnął utracić przytomność, zanim mu zanurzą nóż w piersi... Wtem, nagle, w powietrzu rozbrzmiał straszliwy ryk.

Zapanował ogólny popłoch. Arcykapłanka opuściła sztylet, oczy jej nabrały wyrazu dzikiej trwogi. Kapłani i kapłanki z krzykiem i piskiem rzucili się do ucieczki. Werper uniósł głowę, aby ujrzeć powód tej paniki i... również skostniał ze strachu. Ujrzał bowiem olbrzymiego lwa, stojącego na środku świątyni. Zwierzę już zdołało pochwycić jednego z kapłanów w swoje potężne łapy. Król dżungli ryknął znowu, błyskając ślepiami w stronę ołtarza. La postąpiła parę kroków; wreszcie padła zemdlona na ołtarz, przygniatając swoim ciężarem Werpera.

Rozdział VI

Napad Arabów

Gdy tylko minęło pierwsze oszołomienie spowodowane trzęsieniem ziemi, Basuli i jego wojownicy pospieszyli do podziemnego wejścia szukając Tarzana i dwóch ludzi z ich karawany, którzy również zniknęli. Zastali przejście zatarasowane gruzem i odłamkami skał. Przez dwa dni usiłowali przekopać drogę, aby pospieszyć na ratunek nieobecnym. Ale, gdy po nadludzkich

wysiłkach zdołali odkopać zaledwie kilka łokci przestrzeni, znajdując tam zmiażdżone szczątki jednego z towarzyszy, musieli przypuścić, że Tarzan i drugi Wazyr ponieśli podobną śmierć jak wojownik, którego zwłoki odkopali.

Daremnie wykrzykiwali imię swego pana oraz towarzysza. Żadna odpowiedź nie doleciała do ich uszu. Wreszcie, rzuciwszy po raz ostatni smutne spojrzenie na rumowisko, w którym Tarzan znalazł przedwczesną śmierć i zabrawszy nagromadzony zapas złota, mogący zabezpieczyć wygodny byt ich ukochanej pani, udali się w smutną drogę powrotną - kierując się z opustoszałej doliny Oparu w stronę odległej posiadłości Greystoke'ów.

Podczas gdy tak podążali, do spokojnego bungalowu Tarzana skradało się szybkim krokiem nieszczęście. Oto z północy, wezwany przez swego współnika Werpera, Achmed Zek, na czele swych Arabów i Murzynów, dojeżdżał do farmy.

Mugambi, ów Herkules o hebanowej skórze, który dzielił wszystkie niebezpieczeństwa i przygody ze swym ukochanym Bwaną od wyspy w dżungli aż po wędrówki po rzece Ugambi, pierwszy zauważył najazd straszliwej karawany.

Jemu to właśnie Tarzan przekazał dowództwo nad czarnymi wojownikami pozostałymi w bungalowie, tudzież pieczę nad swą ukochaną małżonką. Zaiste, trudno byłoby znaleźć wierniejszego i dzielniejszego opiekuna. Olbrzymi postawą, ten dziki wojownik nie wiedział co znaczy trwoga. Posiadał przy tym wyjątkowe zalety serca i umysłu - odpowiadające rozmiarom jego wzrostu oraz zasobom jego niezwyklej siły fizycznej.

Od czasu wyjazdu Tarzana ani razu nie oddalił się od domu, chyba, że towarzyszył w konnych przejażdżkach lub polowaniach Lady Greystoke.

Przenikliwym wzrokiem wojownika już z oddali dostrzegł zbliżających się Arabów. Przez chwilę stał, przysłoniwszy dłonią oczy i przypatrywał im się w milczeniu; wreszcie zawrócił i pobiegł szybko w stronę chat tubylców, które znajdowały się w niewielkiej odległości od farmy.

Tu wydał szybkie i stanowcze rozkazy. Stosując się do nich, mężczyźni chwycili za łuki, włócznie i tarcze. Niektórzy pobiegli w pole, by stamtąd odwołać robotników, większość zaś udała się wraz z Mugambim do bungalowu.

Tuman kurzu przesłaniał jeszcze jeźdźców. Mugambi nie miał pewności, czy zamiary ich były przyjacielskie czy też wrogie; w każdym razie ich zbytni pośpiech nie wróżył niczego dobrego.

Bungalow Greystoke'ów nie nadawał się na warownię. Nie było tam żadnej palisady; farma stała w samym środku wioski wiernych Wazyrów - właściciel jej więc nie spodziewał się napadu z którejkolwiek strony.

Mugambi zaczął właśnie opuszczać drewniane żaluzje, gdy Lady Greystoke ukazała się na werandzie i zawołała:

- Co się stało, Mugambi? Dlaczego opuszczasz żaluzje?

Mugambi wskazał na równinę, gdzie widać już było wyraźnie zbrojnych jeźdźców w białych burnusach.

- To Arabowie - rzekł. - Nie mają chyba dobrych zamiarów, przyjeżdżając tu pod nieobecność Wielkiego Bwany.

Jane Clayton, spojrzawszy poprzez zielone klomby i barwne grzędy kwiatów spostrzegła błyszczące ciała swoich Wazyrów. Słońce odbijało się ognistym blaskiem w ich metalowych tarczach i przeświecało przez różnobarwne pióropusze wojennych kołpaków. W spojrzeniu Jane malowała się tkliwość oraz duma. - Jakaż krzywda mogła ją spotkać pod opieką tak dzielnych obrońców?

Jeźdźcy zatrzymali się teraz w pewnej odległości. Mugambi, stanąwszy na czele wojowników, wystąpił parę kroków naprzód; on pierwszy zagadnął przybyszy. Achmed Zek siedział na koniu wyprostowany, mając za sobą całą karawanę.

- Arabie! - zwrócił się do niego Mugambi. - Po co przybyłeś tu ze swymi ludźmi?

- Przynosimy pokój! - zawołał Achmed Zek.

- Odjedźcie więc stąd w pokoju - odparł Mugambi - nie ma bowiem zgody pomiędzy Arabami a plemieniem Wazyrów.

Mugambi, choć rodem z innego szczepu, został jednak przyjęty do plemienia Wazyrów i zaszczyt ten oceniał należycie, będąc wiernym tradycji oraz dbając o zachowanie dobrej sławy czarnych wojowników.

Achmed Zek przemówił cicho do swoich ludzi. Już chwilę później rozbójnicy starali się gradem kul karabinowych zasiać popłoch w szeregi Wazyrów. Paru z nich padło, lecz Mugambi, wódz równie przezorny jak i odważny, rozkazał swoim ludziom ukryć się w ogrodzie za inspektami. Sześciu posłał do domu rozkazując im, aby strzegli Lady Greystoke, broniąc jej nawet kosztem własnego życia.

Achmed Zek, zwyczajem synów pustyni, ustawił swoich ludzi wzdłuż linii falistej, tworząc półkole, które zacieśniał coraz bardziej, dając wreszcie hasło do ataku w pełnym galopie.

Wazyrowie nie na darmo cieszyli się sławą najlepszych łuczników Afryki. Strzały ich powaliły niejednego Araba; ci jednak przeważali liczebnie. Wkrótce Achmedowi Zekowi udało się sforsować linię obrony Wazyrów i przedostać się w obręb farmy.

Wówczas Mugambi, zgromadziwszy szybko swe niedobitki, stanął przed domem, gdzie Lady Greystoke, stojąc na werandzie, raz za razem strzelała z dubeltówki do napastników.

Niejeden z nich poniósł śmierć od morderczej kuli. Mugambi wepchnął przemocą swoją panią do wnętrza domu, sam zaś stanął na werandzie, otoczony garstką wiernych wojowników. Strzały Wazyrów wypuszczane przez szpary żaluzji odpowiadały bez ustanku kulom Arabów; w końcu jednak, wycieńczeni ranami, dzielni czarni obrońcy osłabli w swym oporze. Niebawem Arabowie wtargnęli na werandę, stamtąd zaś do mieszkania Greystoke'ów.

Włócznie Wazyrów spotkały się teraz z krzywymi szablami i karabinami Arabów.

Mugambi, przebiwszy włócznią jednego z wrogów i wyrwawszy mu karabin mierzył teraz do każdego Araba, który próbował zbliżyć się do jego pani.

Achmed Zek, przypatrując się walce z pewnej odległości, upatrzył stosowną chwilę i, gdy tylko Mugambi oddalił się nieco od boku Jane, wziął go na cel i pociągnął za cyngiel. Dzielny Murzyn, nie wydając ni jęku, padł u stóp swej ubóstwianej pani.

W chwilę później Jane została otoczona i rozbrojona. Wyciągnęli ją przemocą z domu.

Olbrzymi Murzyn przywiązał ją do swego siodła i wyjechał z nią za bramę, oczekując na swego pana oraz całą bandę, zajęłą plądrowaniem majątku Greystoke'ów.

Jane pozostawała z daleka bezsilnym i niemym świadkiem działań rabusiów, którzy, ogołociwszy dom ze wszystkich przedmiotów przedstawiających dla nich jakąkolwiek wartość, podpalili cały bungalow. Następnie rzucili się do odwrotu, unosząc nieszczęśliwą ofiarę północnym szlakiem gęstej dżungli.

Tymczasem Mugambi, omdlały wskutek odniesionych ran, został ocucony żarem płomieni, obejmujących ściany domu. Z trudem wyczołgał się na czworakach z walącego się już budynku i dowlókł się do ogrodu. Tam, w cieniu krzewów, przeleżał całą noc; widok niszczycielskich płomieni, pochłaniających zabudowania i skrzętnie nagromadzone zbiory, jedno tylko pragnienie budził w jego dzikiej duszy: żądzę zemsty, nieubłaganej i srogiej zemsty!

Rozdział VII

Komnata klejnotów Oparu

Tarzan przez pewien czas leżał w skarbcu Oparu nieruchomo, niby umarły. Wreszcie drgnął, jego źrenice otworzyły się w ciemnościach pieczary. Podniósł rękę do nosa i obwąchał ją starannie, na sposób dzikiego zwierzęcia obwąchującego zranioną łapę. Była umazana zastygłą krwią.

Powoli przybrał pozycję siedzącą, ciągle nasłuchując. Żaden dźwięk nie dolatywał do głębi tego straszliwego grobowca. Wstał wreszcie na nogi, wymacując drogę wśród ścian pieczary, wyłożonych sztabami złota. Kim był? Gdzie się znajdował? Bolała go głowa, poza tym nie odczuwał jednak innych skutków otrzymanego ciosu. Nie przypominał sobie, co się z nim stało, tak, jak nie pamiętał, jaka okoliczność go tu sprowadziła.

Począł obmacywać starannie swe piersi, ramiona i głowę. Poczł własny nóż, zatknięty za lamparcią skórę opasującą mu biodra. Jakies wspomnienie kołatało się w jego mózgu, czegoś mu brakowało... Zaczł się czołgać po ziemi szukając po omacku przedmiotu, który za mlodu był mu tak niezbędny. Nareszcie znalazł swą ciężką wojenną włócznię i przytulił ją radośnie do piersi. Tarzan był przekonany, że poza miejscem, w którym się znajdował obecnie istnieje inny, piękniejszy świat. Toteż szukał bez ustanku wyjścia, aż natrafił na drzwi, prowadzące do podziemi Oparu i świątyni płomiennego bozka.

Idąc szybkim krokiem nie zauważył cembrowiny studni, zajmującej całe przejście. Wpadł zatem w czarną głębię wody; upadek ten otrzeźwił go natychmiast. Będąc świetnym pływakiem, mógł utrzymywać się na powierzchni wody. Słaby blask dnia, dochodzący do studni przez otwór umieszczony wysoko w górze, oświetlał nieco jej wewnętrzne ściany. Niebawem zauważył przejście, wykute w jednej z tych ścian; tam więc dopłynął i wkrótce poczuł pod nogami ubitą i mokrą ziemię tunelu.

Przeszedł ostrożnie, wzdłuż ciemnego korytarza, w którego głębi znajdowały się ślimakowate schody; idąc po nich doszedł do niewielkiej komnaty, dokąd światło dostawało się poprzez otwór w sklepieniu. Człowiek-małpa, zdjęty ciekawością, zaczął rozglądać się wokoło. Kilka żelaznych szaf stanowiło jedyne umeblowanie komnaty.

Tarzan otworzył jedną z nich i wówczas okrzyk radości wydobył mu się z piersi. Jego zdumionym oczom ukazały się stosy różnobarwnych klejnotów, poukładanych starannie rzędami i

lśniących ognistym blaskiem w półmroku komnaty.

Tarzan, który przez swój wypadek powrócił do pierwotnego stanu zdziczenia, nie zdawał sobie sprawy z faktycznej wartości odkrytych klejnotów. Dla niego były to zwyczajne, ładne kamyki. Zanurzył ręce w skrytkę, przesypując przez palce drogocenne klejnoty. Wreszcie garść ich włożył do kołczana, zwieszającego mu się u pasa.

Człowiek-małpa bezwiednie natrafił na zapomnianą od wieków komnatę klejnotów Oparu.

Przez całe stulecia pozostawała ona nie odwiedzana przez nikogo, ukryta pod świątynią płomiennego bożka w podziemiach, których tajemnic obawiali się sami kapłani Oparu.

Wyszedłszy z komnaty klejnotów Tarzan począł posuwać się naprzód długim korytarzem, wijącym się pod górę. Doszedł wreszcie do schodów, prowadzących na dziedziniec, na którym znajdował się ołtarz ofiarny.

Tarzan spojrział w górę i, ujrawszy obrośnięte dzikim winem kolumny, zmarszczył brwi, jak gdyby usiłując sobie coś przypomnieć. Zdawało mu się ustawicznie, że powinien wiedzieć wiele rzeczy, których dowiedzieć się nie potrafił. Jego rozmyślania zostały przerwane potężnym rykiem, rozbrzmiewającym w górze. Prawie równocześnie rozległy się krzyki i wrzaski mężczyzn i kobiet. Ścisnął włócznię i począł wchodzić po schodach; gdy stanął na dziedzińcu, jego oczom ukazał się dziwny widok.

Mężczyźni i kobiety tłoczyli się w popłochu u drzwi, podczas gdy groźny lew stał nad trupem jednego z kapłanów i chciwym wzrokiem mierzył pozostałe ofiary. Tuż obok Tarzana znajdowała się kobieta z podniesionym wysoko nożem. Stała nad związanym białym człowiekiem, który leżał na wielkim kamiennym ołtarzu. Drugi, potężny ryk wydarł się z paszczy lwa. Kobieta krzyknęła i padła zemdlna na skrępowanego człowieka. Lew postąpił parę kroków i przykucnął na ziemi. Koniec jego długiego ogona zadrgał nerwowo; już miał się rzucić na swoje ofiary, gdy jego wzrok padł na człowieka-małpę...

Werper rozciągnięty na ołtarzu widział, jak wielki drapieżnik gotuje się do skoku. Lecz - nagle - zauważył, że uwaga lwa została zwrócona w stronę przeciwną. Jakaś wysoka postać zamajaczyła koło Werpera. Potężna ręka zanurzyła włócznię w pachwinie lwa. Jednocześnie, odpowiadając groźnym pomrukiem na warczenie króla dżungli, olbrzym skoczył na grzbiet zwierzęcia zatapiając zęby w jego karku i kłując go zawzięcie włócznią. Podczas tych zapasów La odzyskała przytomność. Przypatrywała się tej walce z niemym podziwem. Wreszcie, po długim borykaniu się z siłaczem, lew padł, uderzony włócznią w samo serce. Jego dziwny pogromca, stanąwszy na martwym cielsku zwierza, wydał przeraźliwy okrzyk triumfu - od którego zadrżeli Werper i La. Wówczas dopiero człowiek-małpa zwrócił się twarzą do Werpera, ten zaś poznał w nim Johna Claytona, Lorda Greystoke, o którego śmierci był niesłusznie przekonany.

Rozdział VIII

Ucieczka z Oparu

Zdumienie Werpera nie miało granic. Czyż ta dziwna istota mogła być tym samym, pełnym godności Anglikiem, podejmującym go tak gościnnie w swej opływającej w zbytki afrykańskiej siedzibie? Czyżby to zakrwawione zwierzę o płomiennych oczach mogło być - jednocześnie - człowiekiem? A ten przerażający, przed chwilą usłyszany okrzyk, czyż mógł wyjść z ludzkiego gardła?

Tarzan przypatrywał się mężczyźnie i kobiecie z zaciekawieniem w oczach. Nie rozpoznał ich jednak. La przyglądała mu się bacznie przez chwilę, wreszcie zawołała w języku Wielkich Małp; narzecze to bowiem znane było mieszkańcom Oparu.

- Tarzan! Jak długo La czekała na ciebie, Tarzanie. Wróciłeś tu, by mnie poślubić i otrzymać godność arcykapłana? Powiedz, o mój mocarny władco, że wróciłeś do mnie i dla mnie!

Werper nie dowierzał własnym uszom: oto Anglik odezwał się w tym samym języku:

- Tarzan, Tarzan - powtórzył w zamyśleniu. - Skąd znam to imię?

- To twoje imię, wszak to ty jesteś Tarzanem - zawołała La.

- Ja jestem Tarzanem? - człowiek-małpa wzruszył ramionami. - Wcale dobre imię; zachowam je więc. Ale ja przecież nie znam ciebie, nie dla ciebie tu przyszedłem. Czemu tu przyszedłem i skąd pochodzę, tego nie wiem. Może ty wiesz? Powiedz mi zatem!

La potrząsnęła przecząco głową.

- Nigdy tego nie wiedziałam - odrzekła.

Tarzan zwrócił się do Werpera, zadając mu takie samo pytanie; nadal w języku małp.

- Nie rozumiem - odparł Belg po francusku.

Tarzan odpowiedział mu więc płynną francuszczyzną, bez wysiłku - więc wyraźnie nie odczuwając różnicy pomiędzy gwarą małp a tym językiem. Werper dopiero teraz uświadomił sobie doniosłość kalectwa, którego ofiarą padł Tarzan. Stracił pamięć; wszystkie doświadczenia przeszłe zatarły się w jego mózgu. Belg chciał mu wyjaśnić wszystko, gdy nagle wpadł na myśl, iż utrzymując go w nieświadomości - będzie mógł wyzyskać nieszczęście Tarzana na swoją korzyść.

- Nie wiem, skąd przyszedłeś - rzekł. - Ale mogę cię zapewnić, że o ile się nie wydostaniemy z tego strasznego miejsca, zarzną nas na tym krwawym ołtarzu. Ta kobieta chciała mnie przebić nożem; lew jednak przeszkodził jej w tym zamiarze. Uchodźmy stąd szybko, zanim ochłoną ze strachu i zgromadzą się znowu w tej okrutnej świątyni.

Tarzan zwrócił się do La.

- Dlaczego - spytał - chciałaś zamordować tego człowieka? Czy jesteś głodna?

La wzdrygnęła się ze wstrętem. Wskazując ręką w górę, rzekła:

- Chcieliśmy jego duszę ofiarować płomiennemu bożkowi.

Tarzan się zmieszał. Był przecież znowu małpą, a małpy wszakże nie wiedzą nic o duszy ani płomiennych bożkach.

- A może ty pragniesz umrzeć? - zapytał Werpera.

Belg zapewnił go, że łzami w oczach, że nie żywił bynajmniej takiej chęci.

- Bardzo dobrze, więc nie umrzesz - zapewnił go Tarzan. - Ona chciała cię zabić, a mnie zachować dla siebie. To przecież nie jest stosowne miejsce dla takiego Mangani * jak ja. Nie mógłbym wyżyć długo wśród tych kamiennych murów. - Zwrócił się do La:

W języku Tarzana oznacza to małpę.

- A teraz odejdziemy stąd - oświadczył.

Arcykapłanka chwyciła w swoje dłonie rękę człowieka-małpy.

- Nie opuszczaj mnie! - zawołała. - Pozostań; będziesz arcykapłanem Oparu. Kocham ciebie! Cały Opar będzie do ciebie należeć. Niewolnicy będą ci służyć. Zostań ze mną małpi Tarzanie!

Człowiek-małpa odsunął na bok klęczącą kobietę...

- Tarzan nie chce znać La - rzekł obojętnie; nachylając się nad Werperem przeciął jego więzy i rozkazał iść za sobą.

Dyszząc ze złości, La zerwała się na równe nogi.

- Nie odejdziesz stąd! - zawołała. - La potrafi cię zatrzymać, choćbyś miał paść trupem! -

Po czym, wzniosłszy twarz ku słońcu, wydała ów straszliwy, niesamowity okrzyk, słyszany przez Tarzana już wiele razy - a który tak przeraził tego ranka Werpera.

W odpowiedzi zgiełk wielu głosów dał się słyszeć w przyległych pokojach i korytarzach.

- Chodźcie o stróże, kapłani! - zawołała. - Niewierni zbezczęścili świętość świętych.

Chodźcie! Wzbudźcie trwogę w ich sercach, obrońcie La i jej ołtarz; obmyjcie świątynię krwią przestępców!

Treść jej słów była niezrozumiała dla Werpera. Jednak zrozumiał je Tarzan. Podchodząc szybko do La, pochwycił ją w silne ramiona i, pomimo oporu arcykapłanki, wyrwał jej z dłoni nóż ofiarny. Wsunął go w rękę Werperowi. - Przyda ci się to - rzekł. W tej samej chwili ze wszystkich

drzwi wytoczyły się gromady małych, straszliwych mieszkańców Oparu. Uzbrojeni byli w siekiery i noże, natomiast nienawiść i uniesienie dodawały im odwagi.

Werper oniemiał z trwogi. Tarzan spoglądał na wrogów z pełną dumy pogardą. Z wolna posuwał się ku wyjściu, roztrzaskując swą ostrą włócznią głowy zastępujących mu drogę kapłanów. Ci zdawali się bacznie omijać Werpera, trzymającego w ręku ofiarny nóż. Belg dopiero po chwili zrozumiał, iż zabobonni mieszkańcy Oparu lękali się zapewne czaru magicznego noża. Podzielił się tym spostrzeżeniem z Tarzanem. Ten, uśmiechając się złośliwie, rozkazał mu torować sobie drogę. Wszyscy usuwali się w pokorze przed błyszczącym ostrzem noża. Wkrótce więc człowiek-małpa wraz z towarzyszem zdołali wydostać się bez szwanku z korytarzy i komnat świątyni. Oczy Belga błysnęły chciwością, gdy przechodzili przez komnatę o siedmiu złotych filarach, której ściany wykładane były szczerozłotymi taflami. Na człowieku-małpie ów przepych zdawał się nie robić żadnego wrażenia.

Wyszli wreszcie na otwartą przestrzeń, na której widniały ruiny wspaniałych gmachów.

Wielkie małpy pomrukiwały na nich złośliwie, Tarzan zaś odpowiadał na ich zaczepki podobnym mruzeniem.

Nie obyło się bez jeszcze jednego zajścia. Tarzan, zaczepiony przez jednego z samców stawiał mu dzielnie czoła, błyskając zębami i mrużąc złowrogo. Przeciwnik jego uznał za stosowne ustąpić z placu. Zajął się przelatującym żukiem, który mu posłużył za przekąskę.

Tarzan miał chęć dać mu nauczkę. Jednak Werper, który z przerażeniem śledził postawę i zachowanie się towarzysza, zdołał z trudem namówić go na dalszą wędrówkę, aby czym prędzej opuścić dolinę Oparu.

O zmroku obozowali już u podnóża pagórków stanowiących granicę doliny, rozpaliwszy tam ognisko. Tarzan, który ku zgrozie Werpera, połknął sporą ilość chrabąszczy i żuków, pożywiwszy się przedtem surowym mięsem upolowanej sarny, której część Werper dla siebie

upiekl - wyjął teraz z kołczana garść klejnotów, migocących w blasku ognia. Werper, zobaczywszy skarby, którymi człowiek-małpa zabawiał się tak od niechcienia, postanowił pilnie nad nim czuwać i nie odstępować go ani na chwilę.

Rozdział IX

Kradzież klejnotów

Werper przez całe dwa dni starał się odnaleźć ślad małej karawany, którą pozostawił niedaleko wzgórz stanowiących granicę doliny Oparu.

Zimny pot zrosił mu czoło, gdy trzeciego dnia obydwaj z Tarzanem natrafili na trupy trzech czarnych przewodników, zamordowanych najwidoczniej przez resztę towarzyszy, którzy zbiegli do dżungli. Belg zadrżał na myśl, że podobny los spotkałby i jego, gdyby nie oddalił się w porę, w pościgu za Tarzanem.

Tarzan tymczasem nie okazał najmniejszego zdumienia z powodu odkrycia zwłok pomordowanych ludzi. Dawne wspomnienia dzieciństwa i pierwszej młodości odżyły w nim z powodu silnego wstrząsu jakiego doznał, wykorzeniając zasady i nawyki - powierzchownej zresztą - cywilizacji. Nauki Kali, jego mlecznej matki, przykłady i napomnienia Kerczaka, Tublata i Terkoza stanowiły teraz podstawę jego myśli i czynów. Zachował mechaniczną znajomość francuskiego i angielskiego, nie uświadamiając sobie jednak różnicy pomiędzy tymi językami a gwarą wielkich małp.

Tego wieczora, gdy obydwaj siedzieli przy ognisku i Tarzan zabawiał się znowu swoimi pięknymi błyskotkami, Werper zapytał go, gdzie znalazł te świecidełka. Odpowiedział, że są to kolorowe kamyczki, z których chce sporządzić naszyjnik; znalazł je w podziemiach, pod dziedzińcem świątyni płomiennego bożka.

Werper doznał uczucia ulgi stwierdziwszy, że Tarzan nie miał pojęcia o wartości klejnotów; sądził przeto, iż łatwo przyjdzie mu wyłudzić je od człowieka-małpy. Wyciągnął więc rękę po stos

błyskotek, mówiąc:

- Pokaż mi te cacka, niech i ja się nimi zabawię.

Tarzan przykrył swoje skarby olbrzymią dłonią, wyszczerzył zęby i groźnie mruknął.

Werper cofnął czym prędzej rękę. Człowiek-małpa bawił się dalej klejnotami, zagadując do Belga od czasu do czasu.

Od tej pory Werper zaczął lękać się swego towarzysza. Dziwną zmianę, jaka w nim zaszła na skutek ciosu w głowę, przypisywał obłądowi. Nie rozumiał, że to właściwa, pierwotna natura obudziła się w Tarzanie: nie znał bowiem tajemnicy dzieciństwa i młodości człowieka-małpy.

Belg czuł się teraz uzależniony od kaprysu szaleńca, gotowego uśmiercić go w każdej chwili. Pragnął uciec do Achmeda Zeka, choć obawiał się znowu samotnej przeprawy przez dżunglę bez innej broni oprócz ofiarnego noża. Trawiła go przy tym żądza posiadania klejnotów a strach i chciwość opanowały jednocześnie jego marną duszę. Chciwość jednak przemogła. Werper wolał raczej znosić ciągłe obcowanie z człowiekiem, którego uważał za obłąkanego niż wyrzec się nadziei posiadania fortuny, mieszczącej się w kołczanie Tarzana.

Achmed Zek nie powinien nic wiedzieć o klejnotach; miały one stanowić wyłączną własność Werpera. Belg snuł już marzenia i plany na przyszłość. Kiedy tylko posiadzie klejnoty, ucieknie do Ameryki, gdzie - pod zmienionym nazwiskiem - będzie używał rozkoszy swojego bogactwa.

Trzeciego dnia ich wędrówki z Oparu przenikliwy słuch Tarzana wyczuł obecność ludzi z tyłu, za nimi. Pociągnął za sobą Werpera i obydwaj ukryli się w gęstych krzakach, wyczekując w milczeniu.

Niebawem ukazał się smukły, czarny wojownik; kilkanaście kroków za nim podążali inni w liczbie około pięćdziesięciu, a każdy z nich dźwigał na barkach dwie sztaby złota. Werper poznał ludzi z orszaku Tarzana, towarzyszących mu w wyprawie do Oparu. Jednak spojrzawszy na

człowieka-małpę zauważył, że ten ostatni nie rozpoznał w nich swego wiernego Basulego oraz innych Wazyrów.

Gdy wszyscy już przeszli Tarzan wyszedł ze swej kryjówki, patrząc w kierunku, w którym zniknęli czarni. Po chwili zwrócił się do Werpera:

- Pójdziemy za nimi i zamordujemy ich - oświadczył.

- Dlaczego? - zapytał Belg.

- Przecież to Gomangani * - objaśniał Tarzan.

W języku Tarzana oznacza to murzynów.

- Czarny zamordował Kalę. Oni są wielkimi nieprzyjaciółmi Manganich.

Werper nie miał najmniejszej ochoty stawać do nierównej walki z dzielnymi wojownikami Basulego. Pragnął przy tym, by wojownicy donieśli skarb aż do bungalowu Greystoke'ów - aby móc wysledzić, w którym miejscu schowają oni złoto i w ten sposób ułatwić Achmedowi Zekowi odnalezienie go. Przekonał więc Tarzana, że lepiej byłoby pozostawiając czarnych ludzi w spokoju, iść ich śladem; wówczas zajdą z pewnością do miejscowości obfitującej we wszelkiego rodzaju zwierzynę.

Po kilku dniach forsownego marszu Tarzan i Werper ujrzeli przed sobą rozległe równiny kraju Wazyrów. Przebiegała tam długa i kręta rzeka, okolona pasmem widniejących z oddali ciemnych borów.

Belg rozglądał się po okolicy ze zdumieniem. Gdzież był bungalow Greystoke'ów?

Pogorzelnisko, dookoła woń rozkładających się ludzkich szczątków, pola i łąki zrównane z ziemią - oto jaki widok ukazał się jego oczom. To dzieło Achmeda Zeka: w mózgu zbrodniczego współnika Araba zaświtała myśl...

Basuli i jego towarzysze już z oddali zauważyli dzieło zniszczenia. Podbiegli czym prędzej na miejsce. Basuli, rozejrzawszy się dokładnie, rzekł do towarzyszy:

- To sprawa Arabów.

- Ale gdzie jest Lady? - zagadnął jeden z czarnych (tak bowiem nazywali między sobą Lady Greystoke).

- Zabrali kobiety ze sobą - objaśnił Basuli. - Nasze kobiety i jego żonę.

Jeden z wojowników wydał okrzyk pełen wściekłości.

Basuli uciszył go ruchem ręki.

- Nie pora teraz popadać w rozpacz - powiedział. - Wielki Bwana nauczył nas, że czynem, nie słowem, dokonuje się dzieła. Wytchnijmy nieco a potem pogonimy w ślad za Arabami i wymordujemy ich. Jeżeli "Lady" i nasze kobiety są jeszcze przy życiu.

Tarzan i Werper, ukryci wśród trzciny nad rzeką, przypatrywali się czarnym. Widzieli jak ci wykopują dół, w który składają złoto - przykrywają go następnie rozkopaną ziemią.

Tarzan, którego Werper zapewnił że to, co zakopywali Wazyrowie nie było zdatne do jedzenia, nie okazywał zainteresowania ich czynnością. Inaczej rzecz się miała z Werperem, który żałował, że jego drużyna się rozproszyła. Biadał nad tym, że nie miał pomocnika, aby móc wygrzebać i przenieść złoto, skoro tylko Wazyrowie znikną z oczu. Znając usposobienie bitnych wojowników domyślał się, że zechcą puścić się w pogoń za Arabami, aby odbić swoje kobiety. Postanowił udać się do Achmeda Zeka, by go przestrzec o zbliżaniu się Basulego i jego towarzyszy - jak również powiadomić go o ukrytym skarbie. To, co Arab uczyni teraz z Lady Greystoke, ze względu na obłąd jej męża, nie obchodziło go wcale. Nie mógł jednak zapomnieć o klejnotach, znajdujących się w kołczanie Tarzana. Żądza ich posiadania wzrastała w nim z każdą chwilą. Wiedział jednak, że nie może mierzyć się z olbrzymią siłą człowieka-małpy; gubił się więc w myślach jak osiągnąć celu. Gryzł się widząc, że pragnienie jego musi pozostać niespełnione. Gdy tak leżał wsparty na ręku, rozmyślając nad swoją bezradnością, poczuł na sobie podejrzliwy wzrok Tarzana. Udał więc że zasypia, wydając z siebie głośnie chrapanie. Tarzan

tymczasem zastanawiał się nad sposobem zabezpieczenia swoich błyskotek przed ludzkim wzrokiem. Widział przed chwilą jak Wazyrowie zakopywali swoje skarby, postanowił więc uczynić to samo. Przekonawszy się, że towarzysz śpi smacznie, wziął swój kołczan i, wygrzebawszy w ziemi dołek, ukrył tam skarb wraz z kołczanem, przykrywając go piaskiem. Werper, widząc to, omal nie krzyknął z radości. Zapomniał przez chwilę o chrapaniu - czując jednak na sobie groźne spojrzenie człowieka-mały bąknął, niby przez sen, kilka niezrozumiałych wyrazów; przeciągnął się i przewrócił na drugi bok, chrapiąc znowu. Dopiero po godzinie Werper poruszył się znowu i otworzył oczy. Człowiek-mały spał smacznie. Werper mógł ręką dosięgnąć miejsca, w którym został zakopany kołczan. Wydobył go stamtąd ostrożnie i zasypał dołek ziemią, ukrywając następnie skarb w zanadrzu.

Zadrżał nagle cały na myśl o tym, jakie jego czyn pociągnie skutki. Już prawie poczuł białe zęby Tarzana, w swoim karku... Nagle w oddali rozbrzmiał ryk lamparta. Werper lękał się wprawdzie dzikich zwierząt, ale jeszcze bardziej obawiał się ludzkiego zwierzęcia, śpiącego tuż przy nim. Belg powstał z wielką ostrożnością. Tarzan ani drgnął. Oddalił się o parę kroków; wymacawszy jednak nóż ofiarny, zwisający mu u pasa, zawrócił do śpiącego Tarzana.

- Dlaczegoż z nim nie skończyć? - rzekł do siebie. - Byłbym wówczas wolny.

Pochylił się nad człowiekiem-małą, zaciskając w dłoni ofiarny nóż arcykapłanki płonącego bożka.

Rozdział X Achmed Zek spostrzega klejnoty

Mugambi, osłabiony i pokryty ranami, włókł się szlakiem uciekających najeźdźców. Dzika nienawiść wobec wrogów i żądza zemsty dodawała mu sił - wkrótce też jego odporny organizm wziął górę nad osłabieniem. Żar afrykańskiego słońca zabliznił rany i olbrzymi Murzyn szedł teraz raźniej i szybciej do zamierzonego celu.

Arabowie, mknąc przez ten czas na szybkonogich rumakach, zajechali do swego

wzmocnionego ostrokołem obozu, w którym Achmed Zek oczekiwał powrotu porucznika Alberta Werpera.

Jane Clayton odczuwała nie tyle niewygodę uciążliwej podróży, co niepewność własnego losu. Achmed Zek nie wtajemniczył jej w swoje, względem niej zamiary. Pocieszała się myślą, że została porwana dla okupu. Jeśli tak było, nic strasznego nie mogło jej grozić ze strony Arabów. Mogła jednak również przypuszczać, że czekał ją los znacznie gorszy - w murzyńskim lub arabskim haremie.

Dzielna kobieta nie upadała na duchu. Wszak Tarzan, wszechpotężny władca świata dzikich zwierząt i dzikich ludzi nie zostawi jej w niedoli. Gdy tylko powróci z Oparu, pospieszy jej na ratunek.

Gdy tak pocieszała się nadzieją, przez ciemną dżunglę wędrował zupełnie inny człowiek. Był nim Albert Werper, dzień i noc drżący z trwogi wobec grożących mu na każdym kroku niebezpieczeństw, nie mając w ręku innej broni oprócz ofiarnego noża.

Nocą spał na drzewach, w dzień posuwał się naprzód, ostrożnie, chroniąc się przy każdym podejrzanym odgłosie na gałęzie drzew. Wreszcie dotarł do ostrokołu, okalającego obóz jego dzikich druhów. Prawie jednocześnie Mugambi wyszedł z dżungli i zatrzymał się przed wioską Achmeda Zeka. Gdy tak stał w cieniu wielkiego drzewa rozglądając się wokoło, ujrzał człowieka w łachmanach, z potarganymi włosami, który tuż obok niego wyłonił się z dżungli. Od razu poznał w przybyszu owego cudzoziemca, goszczonego przez Tarzana przed jego podróżą do Oparu.

Murzyn chciał już pozdrowić Belga, gdy nagle coś go powstrzymało. Ujrzał, jak biały człowiek kieruje się śmiało w stronę bram wioski. Żaden człowiek o zdrowych zmysłach nie podchodzi tak do wioski w tej części Afryki - o ile nie jest pewien dobrego przyjęcia. Mugambi postanowił chwilę poczekać. Podejrzenia jego zostały wkrótce potwierdzone.

Usłyszał głos Werpera, następnie ujrzał jak wrota się otwierają. Był świadkiem przyjaznego

powitania, jakie od Arabów otrzymał gość Lorda i Lady Greystoke. Mugambi pojął teraz wszystko.

Ten biały okazał się zdrajcą i szpiegiem! Jemu to należało podziękować za napaść Arabów pod nieobecność Wielkiego Bwany. Do swej nienawiści względem Arabów Mugambi dołączył nienawiść wobec białego szpiega.

Dostawszy się do wioski, Werper udał się pospiesznie do jedwabnego namiotu Achmeda Zeka. Arab zerwał się na równe nogi na widok swego porucznika; przyglądał się ze zdumieniem jego obszarpanej postaci.

- Co się stało? - zapytał.

Werper opowiedział mu swoje przygody, nie wspominając jednak ani słowem o kołczanie z klejnotami. Źrenice Araba zwęziły się chciwie gdy usłyszał o złocie, zakopanym w pobliżu farmy Greystoke'ów.

- Łatwo nam będzie teraz przywłaszczyć sobie te skarby - rzekł Achmed Zek. - Należy najpierw odczekać tutaj do odsieczy Wazyrów; gdy zaś wybijemy ich co do jednego, udamy się natychmiast po złoto.

- A co poczniesz z kobietą? - zapytał Werper.

- Sprzedam ją gdzieś na północy - odparł Arab. - Jest to jedyne możliwe wyjście.

Powinniśmy dostać za nią dobrą cenę.

Belg skinął potakująco głową. Myśli jego pracowały teraz szybko. Gdyby potrafił namówić Achmeda Zeka, by ten powierzył mu dowództwo oddziału, mającego zawieźć Lady Greystoke na północ, mógłby się uwolnić spod przemocy straszliwego Araba. Inaczej bowiem nie miał nadziei, by wydostać się od niego. Wiedział bowiem dobrze, iż Achmed Zek nie zwalniał nigdy dobrowolnie ludzi ze swej bandy; dezertersów zaś chwycił zawsze w porę: śmiercią, poprzedzoną zwykle straszliwymi torturami, odpokutowywali oni wówczas własne zuchwalstwo. Należało więc spróbować innego sposobu.

- A któż uda się na północ z kobietą, gdy my pojedziemy wykopywać złoto? - zapytał

Werper Araba obojętnym głosem.

Achmed Zek zastanowił się chwilę. Zakopane złoto przedstawiało wartość o wiele większą niż okup za kobietę. Należało pozbyć się jej jak najprędzej - tak samo, jak nie trzeba było ociągać się z wyprawą po skarby. Postanowił więc powierzyć Jane Clayton Werperowi; zrozumiał bowiem, iż ucieczka - nawet gdyby Belg powziął taki zamiar - byłaby dlań bardzo trudna w nieznanym a wrogim dla białych kraju.

- Nie jest konieczne - rzekł - byśmy obydwaj jechali po złoto. Ty udasz się na północ z niewiastą, wraz z moim pismem do jednego z przyjaciół, który pozostaje w ciągłej styczności z handlarzami niewolników. Ja zaś zajmę się odkopaniem złota. Spotkamy się dopiero po załatwieniu tych spraw.

Werper z trudem powstrzymał się od okazania swego zadowolenia z takiego obrotu spraw.

Wreszcie, pożegnawszy Achmeda Zeka, udał się do łaźni. Skoro zaś zażył rozkoszy kąpieli, zawiesił na ścianie swego namiotu małe lustro i rozpoczął ceremonię golenia. Kiedy skończył, rozsiadł się w wyplatanej krześle i paląc papierosa jał snuć miłe marzenia. Pogładził swój kołczan, zawierający bezcenne skarby. W radosnym podnieceniu rozmyślał o rozkoszach i przyjemnościach, jakie będą jego udziałem, skoro posiadał taką fortunę. Cóż by powiedział Achmed Zek na taki obraz, jak szeroko wytrzeszczyłby oczy na widok tych cudów. Werper nie potrafił oprzeć się pokusie obejrzenia swych skarbów i nacieszenia się nimi. Był wszakże sam, nikt mu teraz w tym nie przeszkodzi!

Rozłożył na stole błyszczące kamienie; cały namiot rozgorzał od ich niezliczonych blasków. Wpatrując się w przestrzeń, Werper dalej snuł marzenia... Nagle wzrok jego padł na tafłę lustra, w którym odbijało się złowrogie oblicze Achmeda Zeka. Werper struchlał, jednak z przedziwną przytomnością umysłu - odwrócił powoli wzrok od lustra i jał przypatrywać się

klejnotom. Schował je do kołczana, zapalił jeszcze jednego papierosa i, przeciągając się i ziewając głośno, skierował się w przeciwną stronę namiotu udając zamiar położenia się do snu. Twarz Achmeda Zeka zniknęła tymczasem z lustra.

Trudno byłoby opisać przerażenie Alberta Werpera. Zrozumiał on, że nie tylko utracił klejnoty, ale że podpisał na samego siebie wyrok śmierci. Achmed Zek nie daruje mu nigdy, iż chciał ukryć przed nim takie skarby! Belg rozbierał się wolno - nie wiedział, czy był obserwowany czy też nie. W każdym razie czujne oczy szpiega nie mogłyby dopatrzeć się w jego ruchach zamieszania czy podniecenia. Rozebrawszy się, Belg podszedł do stolika i zgasił światło. W dwie godziny później postać w ciemnej szacie weszła, skradając się cicho do namiotu Werpera. W ręku przybysza błyszczało ostrze długiego noża. Podszedłszy do łóżka, namacał śpiącego człowieka i zanurzył weń kilkakrotnie mordercze narzędzie. Zaniepokojony jednak dziwnym bezwładem śpiącego ściągnął kołdrę i zerwał prześcieradło, przykrywając domniemaną ofiarę.

Usta napastnika wyrzuciły z siebie słowa strasznego przekleństwa. Achmed Zek, miotał się w bezsilnej złości. Zamiast Alberta Werpera, nóż jego ugodził kilkakrotnie w kukłę, sporządzoną z ubrań i gałganów przez sprytnego Belga, który sam znikł bez śladu.

Pieniąc się z wściekłości, Achmed Zek zaalarmował cały obóz. Konno, wraz z wszystkimi jeźdźcami, ruszył w dżunglę, pozostawiając w obozie jedynie czarnych niewolników. Mugambi, czatujący tymczasem na okazję zakradnięcia się do wioski, skorzystał z ogólnego zamieszania. Wszedł do obozu i ochoczo pomagał innym czarnym w zatarasowywaniu wrót wioski. Wreszcie obszedł uważnie cały obóz; zauważył szafas, przed którym stał czarny strażnik, sprawujący wartę. Mugambi ukrył się w cieniu - ujrzał bowiem, jak inny Murzyn zbliża się do strażnika by go zastąpić.

- Czy uwięziona śpi? - zapytał towarzysza nowo przybyły wartownik.

- Tak, śpi smacznie - odparł tamten. - Nikt nie zjawił się tutaj, odkąd rozpocząłem wartę.

Wartownik rozsiadł się przed szałasem, jego towarzysz zaś skierował się ku swej lepiance.

Mugambi maczugą uśmiercił nic nie podejrzewającego strażnika, gruchocząc mu kręgosłup.

Następnie zakradł się do wnętrza szałas, wołając szeptem: "Lady, Lady!". Ale wołanie jego pozostało bez odpowiedzi. Chata była pusta...

Rozdział XI

Tarzan znów staje się~

dziką małpą

Werper stał przez chwilę nad śpiącym człowiekiem-malpą z nożem, gotowym do zadania śmiertelnego ciosu. Strach jednak powstrzymywał jego dłoń. Co by się stało, gdyby chybił? Werper zdrzął na samą myśl o tym. Wiedział, że nawet będąc w agonii jego przeciwnik znalazłby dość siły, aby go żywcem rozszarpać zębami za tak nikczemną zdradę.

Tymczasem w trzcinach, tuż za nimi, dało się słyszeć przyciszone stąpanie jakiegoś drapieżnika. Werper postanowił spróbować szczęścia w ucieczce. Bez namysłu ruszył przez rozległą równinę w stronę okalających ją lasów.

Tarzan tymczasem spał twardo, niepomyślnie swej zwykłej ostrożności. Nie słyszał zbliżających się kroków Numy. Zwierzę przysiadło na chwilę, przypatrując się chrapiącemu smacznie człowiekowi. Wreszcie zaczął bić ogonem o ziemię, gotując się do skoku...

Szmer ten obudził Tarzana, który zerwał się na równe nogi. Ściskając mocno włócznię gotował się do walki. Lew jednak - z niewiadomych przyczyn - zamiast urzeczywistnić swój zamiar napaści cofnął się w trzciny. Tarzan rozejrzał się wokół, szukając Werpera. W końcu domyślił się, iż ten musiał uciec w obliczu niebezpieczeństwa. Wzruszył tylko pogardliwie ramionami, następnie wskoczył na rozłożyste drzewo, rosnące na skraju szuwarów. Tam przespał aż do następnego ranka. Wreszcie otworzył oczy, przeciągając się leniwie i ziewając głośno.

Spojrzał na opustoszałe pola i spalone łąki, należące do Johna Claytona - Lorda Greystoke.

Zauważył Basulego oraz jego towarzyszy zwijających obóz, aby wyruszyć na wyprawę przeciwko Arabom.

Przyglądał się uważnie Murzynom; coś niby wspomnienie błąkało się w jego mózgu, nie był jednak w stanie odtworzyć sobie nic ze swej, tak bliskiej przecież, przeszłości.

Natomiast stanęły mu przed oczyma kosmate postaci, wśród których spędził niemowlęstwo, dzieciństwo i pierwszą młodość. Jego małpia karmicielka Kala, Terkoz, Tublat i Kerczak - wreszcie mała Neeta, towarzyska dziecięcych igraszek i niesfornych zabaw. Poczul, że piersi rozpiera mu dziwna tęsknota za nimi. Postanowił ich odnaleźć...

Gdy tylko czarni odeszli, pomyślał o zaspokojeniu głodu; wyruszył więc na poszukiwanie zera. Spostrzegłszy w oddali pasące się wśród traw zebry pospieszył w ich stronę, czołgając się na brzuchu i ukrywając między trzciniami. Wreszcie, zbliżywszy się do klaczy, która ze swym źrebakiem oddaliła się od reszty stada, zatopił zniecka włócznię w jej grzbiecie.

Dokończył dzieła myśliwskim nożem. Żrebak zdołał umknąć do spłoszonego rozpaczliwym rzeniem klaczy, stada. Zebra walczyła nadaremnie, kopiąc i gryząc napastnika; wreszcie padła na ziemię z ostatnim, bolesnym skowytym. Człowiek-małpa, stanąwszy na jej ciele, wydał zwykły okrzyk zwycięstwa Manganich.

Słabe echo przeraźliwego wrzasku doleciało do uszu czarnych wojowników, zmierzających spieszenie w stronę obozu Achmeda Zeka.

- Wielkie małpy! - odezwał się do towarzyszy Basuli.

- Od dawna już nie słyszałem ich w tej okolicy. Co takiego mogło je tu sprowadzić?

Tarzan, zaciągnąwszy swój łup pomiędzy trzciny, pożywił się do syta. Nie zdołały mu w tym przeszkodzić ani dwie hieny, zwabione skowytym i rzeniem zebry, pomrukujące nań złowrogo, ani stado bawołów, spoglądających krwawymi ślepiami ze złością na intruza, który

wszedł im w drogę. Tak hieny jak i bawoły, widząc obojętne i pełne dumy zachowanie się Tarzana, który ich nawet nie zaszczycił spojrzeniem, usunęły mu się z drogi - szanując w nim tajemniczą, groźną potęgę.

Człowiek-małpa, zaspokoiwszy pragnienie, wykąpał się w rzece. Wreszcie wskoczywszy na drzewo, bujał się beztrosko na jednej z gałęzi, rozkoszując się słońcem i swobodą. John Clayton - Lord Greystoke, przestał istnieć - a Tarzan, pierwotny człowiek-małpa, czuł się najzupełniej szczęśliwym.

Gdy ocknął się z błogiego półsnu i udał się znowu w stronę rzeki by ugasić pragnienie, spostrzegł o kilkadziesiąt kroków od brzegu lwią rodzinę. Złożona była z jednego samca, dwóch lwic i czterech rosnących młodych lwiat, które na jego widok poczęły groźnie ryczeć. Człowiek-małpa wyszczerzywszy zęby odpowiedział im gwałtownym mruknięciem.

Nie żywił bynajmniej zamiaru zaczepiania przeciwników - przewyższających go liczbą.

Lwy - ze swej strony - były syte i nie miały ochoty próbować ludzkiego mięsa. Zarówno jednak Tarzan jak i Numa, przewodnik rodziny, czuli się w obowiązku udawać złość i oburzenie, aby podtrzymać swój rodowy honor. Nie wiadomo, kto kogo by przekrzyczał - gdyby nie nagłe ukazanie się straszego Buty. * Tarzan, ze zwykłą przebiegłością, zdołał zatopić włócznię w jego cielsku i wskoczyć na drzewo, skąd przypatrywał się dalej walce rozwścieczonego z bólu zwierzęcia z plemieniem lwów.

W języku Tarzana oznacza to nosorożca.

Buto powalił wprawdzie i rozszarpał na kawały pierwszego lwa, jednak sześć pozostałych rzuciło się na niego zajadle. Rana w płucu, jaką otrzymał od włóczni Tarzana dokonała dzieła, wywołując wewnętrzny krwotok. Lwy - widząc powalonego wroga - oddaliły się na bok, aby wylizać swe rany. Wówczas Tarzan, zeskoczywszy z drzewa wyciągnął włócznię z grzbietu Buty i, odkrajawszy kawał mięsa nosorożca, zniknął w głębinach dżungli.

Rozdział XII

La szuka zemsty

Przeskakując z drzewa na drzewo człowiek-małpa wędrował po dżungli, zatopiony w myślach o polowaniu. Nie był wcale świadomy niebezpieczeństwa, jakie groziło mu ze strony ścigającej go, straszliwej karawany. Składała się ona z pięćdziesięciu krępych, kosmatych ludzi o pałakowatych nogach, na których czele szła prawie naga, osobliwej urody kobieta. Była to La, arcykapłanka Oparu, szukająca wraz ze swymi wstrętnymi kapłanami świętokradcy, który przywłaszczył sobie święty nóż ofiarny.

Nigdy przedtem La nie opuszczała starych ruin Oparu; ale też nigdy dotychczas nie zachodziła też tak gwałtowna potrzeba. Skradziono nóż ofiarny, przekazywany z pokolenia na pokolenie jako godło władzy i najwyższego urzędu - spuściznę po starożytnych mieszkańcach zapomnianej od dawna Atlantydy. Utrata klejnotów koronnych i pieczęci Wielkiej Brytanii nie przyniosłaby większego smutku królowi angielskiemu niż smutek, jaki zniknięcie ofiarnego noża sprawiło La, królowej i arcykapłance Oparu: dziedzicze najstarszej cywilizacji na świecie.

Kiedy Atlantyda wraz ze swymi potężnymi grodami i pięknymi ogrodami uprawnymi oraz polami zapadła się w morze, razem z nią zginęli jej mieszkańcy... za wyjątkiem garstki kolonistów, pracujących w tym czasie w kopalniach złota środkowej Afryki. Z nich właśnie, połączonych później ze szczepem niewolników, powstała skarłowaciała, szpetna rasa plemienia Oparu. Jednak dziwnym zrzędzeniem natury osobniki żeńskie, pochodzące od ostatniej księżniczki Atlantydy, zachowały się tam piękne i smukłe.

Taką właśnie była La, wysmukła i kształtna, o cerze białej jak śnieg, zabarwionej lekkim rumieńcem. Bujne rudawo-złote włosy niby jedwabisty płaszcz spadały jej na ramiona. Z jej zielonych oczu bił jednak chłód, ich wyraz był dziwnie pogardliwy i dumny.

Ujrzawszy Tarzana La zapragnęła uczynić go swym małżonkiem i władcą Oparu; uważała

bowiem, że był godniejszy tego zaszczytu niż szpetni, karłowaci kapłani stanowiący jej świtę.

Wśród dawnych legend Oparu, przekazywanych z pokolenia na pokolenie, istniała przepowiednia mówiąca, że kiedyś nowi, piękni ludzie pojawią się w Oparze. Odnowią oni podupadającą już rasę, a wówczas stary ląd, zatopiony w głębiach oceanu wydobędzie się na powierzchnię i rozproszeni w Afryce potomkowie Atlantydy powrócą na łono ojczyzny.

Może pod wpływem tej właśnie przepowiedni La tak gorąco pragnęła zdobyć Tarzana.

Skoro zaś została odtrącona przez człowieka-małpę, zapalała żądzą zemsty. Pragnęła ukarać go za zniewagę - a także za świętokradztwo jakiego się dopuścił, zabierając ze sobą nóż ofiarny.

Postanowiła puścić się w pogoń za Tarzanem, uwięzić go i następnie zadać mu okrutną śmierć, poprzedzoną strasznymi mękami.

Kapłanom oraz La towarzyszyły trzy wielkie małpy w roli przewodników i szpiegów - dla tropienia zwierzyny i wynajdywania właściwych szlaków w dżungli, mieszkańcy Oparu nie mieli bowiem dostatecznie rozwiniętych zmysłów słuchu i powonienia. La dowodziła całym oddziałem. Wyznaczała miejsca postoju, kazała się nosić w lektyce; kapłani pokornie wykonywali wszystkie jej, nieraz uciążliwe, rozkazy.

Wędrówka trwała już dość długo. Wreszcie, pewnego dnia, jedna z małp zaczęła węszyć w powietrzu; wkrótce puściła się z wiatrem w głąb dżungli, pozostawiając La i kapłanów w niemym oczekiwaniu. Powróciła niebawem i, podchodząc do La, wykrzyknęła:

- Wielki Tarmangani * tam śpi! - wskazała w głąb dżungli. - Pójdź za mną, z łatwością go zabijemy!

W języku Tarzana oznacza to białego człowieka.

- Nie wolno go zabijać! - rzekła La zimnym głosem. - Dostarczycie mi Wielkiego

Tarmangani żywego i całego. Zemsta będzie przywilejem i rozkoszą La! Idźcie wszyscy, ale nie spłoszcie go!

Ruszyły więc trzy małpy oraz cała świta La. Tarzan tymczasem spał twardo, nie domyślając się, że pięćdziesięciu szpetnych, kosmatych ludzi i trzy wielkie małpy czyhają na jego życie. Śnił zapewne o Numie, Horcie * i innych mieszkańcach dżungli... Wielkie więc było jego zdumienie, gdy nagle znalazł się na ziemi - zepchnięty z gałęzi przez trzy wielkie małpy. Te nie wypuszczały go z objęć, a mnóstwo kosmatych rąk zaczęło go boleśnie tarmosić. Nadaremnie próbował odzyskać wolność drapiąc, gryząc i kopiąc swoich napastników. Przeważająca liczba wrogów zdecydowała tym razem o losie niezwyciężonego dotychczas Tarzana.

Horta jest określeniem niedźwiedzia.

Rozdział XIII

Skazany na mękę i śmierć

La szła w pewnej odległości za swoją czeredą, a gdy ujrzała, iż kapłani rzucają się z pięściami i zębami na Tarzana, krzyknęła na nich ostro, aby nie pozbawiali go życia.

- Zwiążcie go i zanieście na miejsce naszego postoj! - rozkazała. - Zbudujecie mi namiot, obok którego wzniesiecie ołtarz. Spędzimy tu dzisiejszą noc: zaś jutro przed obliczem Płonącego Bożka La ofiaruje mu serce przestępcy jako zadośćuczynienie za świętokradztwo! Ale... Gdzież jest nóż ofiarny? Kto mu go wyrwał z rąk?

Nikt jednak nie widział noża. Człowiek-małpa, spojrzawszy z pogardą na otaczających go wrogów, uśmiechnął się do La i oświadczył spokojnie:

- Nie wiem gdzie jest nóż. Zabrał go człowiek, który mi towarzyszył - ale dokąd z nim uciekł tego nie wiem. Jeżeli tak ci na tym nożu zależy, każ mnie wypuścić, a odnajdę go z pewnością!

La zaśmiała się szyderczo; przejęta była bowiem doniosłością wielkiego świętokradztwa, popełnionego przez Tarzana. Oprócz tego uczucia tliło się w niej również pragnienie zemsty za osobistą obelgę, jaką wyrządził jej gardząc ofiarowaną miłością.

Gdy namiot został przygotowany, La rozkazała przynieść tam Tarzana. Kapłanów zaś zapędziła do budowania ołtarza, na którym miała dokonać się ofiara.

Noc zapadała powoli; kapłani Oparu nucili monotonnym głosem przekazane im przez praojców pieśni, których znaczenia już nie rozumieli. Tarzan leżał związany, oczekując spokojnie na zbliżającą się śmierć...

Piękna kapłanka La przechadzała się tymczasem wzburzona po namiocie, spoglądając od czasu do czasu na swą ofiarę. Oddawała się wyobrażaniu sobie cierpień, jakie czekały Tarzana nazajutrz. Ściskając nóż, podeszła do człowieka-małpy z nagłym postanowieniem zanurzenia mu w sercu morderczej broni. Tarzan, widząc jej zamiar, uśmiechnął się tylko spokojnie... La odsunęła się przerażona. Ogarnął ją podziw wobec odwagi nieustraszonego młodziana. Jakże piękny wydał jej się w owej chwili, w porównaniu z karłowatymi mieszkańcami Oparu, spośród których miała sobie wybrać męża! Uniesiona wzruszeniem padła przed nim na kolana. Po chwili, opierając głowę na jego ramieniu, zasnęła z ciężkim sercem...

Nazajutrz o świcie obudziły ją odgłosy pieśni kapłanów, przygotowujących się do krwawego rytuału. Tarzan, który pomimo więzów i świadomości czekającej go śmierci przespał twardo całą noc, obudził się również. La spojrzała na niego błagalnym wzrokiem:

- Tarzanie - rzekła.

- Obiecuj, że zostaniesz moim mężem, a ocalę ci życie, dam ci władzę i szczęście!

Jednak człowiek-małpa, mrużąc groźnie, odepchnął tulącą się do niego kobietę. La spurpurowiała ze wstydu. Głosem drżącym z oburzenia zawołała:

- Chodźcie, kapłani Płonącego Bozka! Przygotujcie wszystko do złożenia ofiary.

Mali, karłowaci ludzie o pomarszczonych twarzach zbliżyli się do Tarzana. Podnieśli go i ruszyli w stronę ołtarza w takt śpiewanej pieśni. Złożywszy go tam oczekiwali w milczeniu na hasło królowej, aby podpalić stos. Tarzan leżał spokojnie z zamkniętymi oczami, nie wydając ani

jednego jęku. Czuł, że ma umrzeć. Wychował się jednak w dżungli i był oswojony ze śmiercią.

Wiedział, że prędzej czy później musiałby się z nią spotkać. Tak wielka była jego obojętność, że pogрузił się nawet w rozmyślanie o pięknych kamykach, które stracił nie wiadomo w jaki sposób.

Poczuł, że La zbliża się do niego. Otworzył oczy i spostrzegł, że piękna kapłanka ma oczy zasnutę łzami. Dosłyszał jej błagalny szept:

- Tarzanie, Tarzanie! - mówiła La.

- Powiedz, że mnie kochasz, a będziesz ocalony i wrócisz ze mną do Oparu! - Więc, jaka będzie twoja odpowiedź?

W oddali, poprzez dżunglę rozbrzmiał odgłos, który doleciawszy do przenikliwych uszu

Tarzana rozjaśnił jego oblicze nadzieją. Wydał teraz, jakby w odpowiedzi, przeraźliwy okrzyk - na którego dźwięk La odskoczyła o parę kroków od ołtarza.

- Jaką dasz mi odpowiedź? - nalegała.

- Czy odpowiesz na miłość najwyższej kapłanki La z Oparu?

Odgłos, który zwrócił uwagę Tarzana zbliżał się coraz bardziej; teraz już i obecni

rozróżniali wyraźnie trąbienie słonia. Tarzan zaniepokoił się nieco - zrozumiał bowiem z tych dźwięków, że jakiś wróg porwał Tantorowi * samicę; wskutek tego nie może się więc spodziewać od niego pomocy: grozi mu nawet śmierć ze strony straszliwego, oszalałego z gniewu zwierzęcia.

W języku Tarzana oznacza to słonia.

Zamiast odpowiedzieć na pytanie La rzekł do niej przytłumionym głosem:

- Zbliża się Tantor! Miałem nadzieję, że mnie ocali. Jego ryk jednak zwiastuje mi, że grozi nam od niego niechybna śmierć.

- Nie mogę cię kochać, La - mówił dalej Tarzan - pomimo całej twej urody. - Żał byłoby mi jednak zobaczyć cię rozszarpaną przez Tantora. Dlatego - jeśli ci życie miłe - rozetnij więzy, a zdołam cię jeszcze ocalić.

- Uciekajcie! - krzyknęła La do kapłanów, nasłuchujących niespokojnie zbliżającego się ryku słonia.

Sama zaś przecięła sznury, krępujące człowieka-małpę. Najstarszy kapłan, który trzymał w rękę pochodnię widząc, że więzień został uwolniony, próbował rzucić się na dziewczynę.

Człowiek-małpa jednak chwycił go wpół i gruchocząc mu kręgosłup w potężnych dłoniach, rzucił go ponad głowami jego towarzyszy. Po czym porwał La na ręce i wskoczył na drzewo, schronił się tam bezpiecznie przed Tantorem. Ten, nie poznając przyjaciela próbował obalić ich schronienie.

Łypał złowrogo zaczerwienionymi z gniewu ślepiami szukając domniemanego wroga. Ryczał przy tym zajadle. Drzewo pod wysiłkami słonia jęło się słaniać i już, już oboje mieli znaleźć się w jego mocy, gdy - w ostatniej chwili - Tarzan ze swym ciężarem na plecach przeskoczył na sąsiednie drzewo... Przeskakując z gałęzi na gałąź pędził teraz przez dżunglę. Tantor, przekonawszy się, że zdobycz umknęła, zawzięcie rycząc pogonił jej śladem.

Rozdział XIV

Tarzan rozstaje się z La~

i śledzi Werpera

Tantor, spotkawszy na drodze jednego z uciekających kapłanów, wyładował na nim całą swą złość. Skierował się następnie ku południowej stronie dżungli. Tarzan, nie słysząc już za sobą pościgu, zwrócił się do La.

- Zwołaj do siebie swych poddanych! - powiedział do niej rozkazująco.

- Zamordują mnie, ponieważ ocaliłam ci życie - odparła La.

- Nikt cię nie zamorduje, dopóki małpi Tarzan jest przy tobie - rzekł. - Zawołaj ich do siebie, pomówimy z nimi.

La wydała długi i cienki okrzyk, który echo rozniosło po dżungli. Z daleka i z bliska rozbrzmiały w odpowiedzi podobne okrzyki; niebawem zebrali się wszyscy kapłani, stając z

groźnymi minami i zjadliwie łypiąc oczami na La i jej wybawcę.

- Wasza La jest ocalona - rzekł człowiek-małpa. - Gdyby mnie zamordowała, sama zostałaby zmiażdżona - tak jak i wy wszyscy - przez rozwścieczonego Tantora. Darowała mi życie, abym ja mógł ją z kolei ocalić. Odejdźcie z nią do Oparu, zaś Tarzan powróci do swej dżungli.

Niechaj zapanuje pokój pomiędzy Tarzanem a La...

- Jaka jest wasza odpowiedź?

Kapłani mruczei, kiwając głowami. Naradzali się między sobą. Widać było, że nie mieli ochoty zgodzić się na propozycję Tarzana. Nie chcieli już mieć La za królową i pragnęli dokonać na Tarzanie ofiary dla Płonącego Bożka. W końcu człowiek-małpa stracił cierpliwość. Zwrócił się do nich znowu:

- Albo posłuchacie rozkazu waszej królowej i wróćcie z nią do Oparu - rzekł stanowczo - albo zwołam inne zwierzęta dżungli, które was rozszarpiają na kawałki. La ocaliła mi życie abym ją, i was, obronił od Tantora. Pozwólcie mi więc odejść w spokoju i wróćcie razem z La do Oparu. Nie wiem, gdzie się znajduje wasz święty nóż. Ale przecież możecie sobie sporządzić inny. Gdybym go nie wyrwał wówczas z rąk La, bylibyście mnie nim zarżnęli. Teraz zaś wasz bożek zapewne raduje się, że zdołałem uchronić jego kapłankę przed napaścią rozszalałego Tantora. No? Czy jesteście gotowi wrócić do Oparu z waszą królową?

Kapłani naradzali się pomiędzy sobą. Wreszcie jeden z nich wystąpił, mówiąc:

- Arcykapłan Kadzi chce was oboje ofiarować Płonącemu Bożkowi, ale my wszyscy pragnęlibyśmy wrócić z naszą królową do Oparu.

- Was jest więcej, Kadzi zaś jest tylko jeden - zauważył Tarzan. - Powinniście więc przeforsować wasze zdanie. Gdyby zaś nie chciał was słuchać, zamknijcie mu usta na zawsze!

Pochwycili więc Kadziego i, grożąc mu nożem oraz pięściami, przemawiali do niego ostro.

W końcu, acz niechętnie, Kadzi przystał na ich żądania. Wówczas Tarzan stanąwszy przed nim

odezwał się tymi słowami:

- Kapłanie Kadzi. La wróci do swej świątyni pod opieką reszty kapłanów. Ja, Małpi Tarzan, przyrzekam wam, że jeśli ktokolwiek ją skrzywdzi, będzie miał do czynienia ze mną. Zjawię się w Oparze, zanim spadną jesienne deszcze. Gdyby La stała się jakaś krzywda, wówczas biada Kadziem - arcykapłanowi Oparu!

Kadzi, nachmurzony, obiecał, że nie skrzywdzi swej królowej.

- Strzeżcie jej! - zawołał Tarzan do całej grupy. - Strzeżcie jej tak, by - gdy Tarzan powróci do Oparu - La wyszła z pozdrowieniem na jego spotkanie.

- Wyjdę ci na spotkanie - zawołała Arcykapłanka. - Będę na ciebie czekała, tęskniąc, do chwili twego powrotu. Powiedz, że wrócisz do mnie!?

- Kto wie - rzekł człowiek-małpa i wskoczył na drzewo.

Przeskakując z gałęzi na gałąź skierował się na wschód. La zaś, smutna, ruszyła w powrotną drogę do Oparu.

Tarzan pędził zwykłym szlakiem wśród drzew, dopóki noc nie pokryła ciemnością dżungli.

Wówczas zasnął twardo, nie myśląc już o przeżytych wydarzeniach.

A tymczasem niedaleko od niego Lady Greystoke tęskniła do dnia, w którym jej pan i władca - odkrywszy zbrodnię Achmeda Zeka - przybędzie jej na ratunek. Gdy tak snuła marzenia o powrocie Johna Claytona nie przypuszczała nawet, że bohater jej myśli jest niedaleko od niej; na wpół nagi i głodny grzebał chciwymi palcami w ziemi, aby znaleźć glistę lub jajko szarańczy.

Upłynęły dwa dni od czasu kradzieży klejnotów. Tarzan teraz dopiero zaczął ponownie o nich myśleć. Skoro stanęły mu w pamięci, zapragnął posiąść je znowu. Wstał więc i ruszył przez równinę zostawiając za sobą las, w którym spędził cały poprzedni dzień.

Chociaż w miejscu, w którym zakopał swoje skarby nie było żadnego znaku, dążył ciągle w jednym kierunku nie wątpiąc, że je odnajdzie. Dotarłszy na miejsce rozkopał nożem dołek. Z

wielkim żalem stwierdził w kryjówce brak klejnotów. Bez chwili wahania postanowił ścigać sprawcę kradzieży. Domyślił się bowiem natychmiast, że był nim jego towarzysz podróży. Chociaż ślady Werpera zatarły się prawie całkowicie, Tarzan obdarzony niesamowitą wrażliwością wzroku, słuchu i węchu, odszukał trop. Podążył szybko w tym kierunku, pragnąc dopiąć celu. Zatrzymywał się tylko, aby spożyć upolowaną przez siebie zwierzynę. W nocy spał na gałęziach, unikając spotkania z krajowcami, których bandy włóczyły się po dżungli. Byli to sprzymierzeńcy Basulego dążący na odsiecz wojownikom Tarzana i Lady Greystoke - dla Tarzana jednak wszyscy wydawali się teraz wrogami. Nie pamiętał teraz o swym obcowaniu tak z białymi, jak i czarnymi tubylcami.

Zapadła już noc, kiedy Tarzan stanął w pobliżu ostrokołu ogradzającego obóz Achmeda Zeka. Z gałęzi rozłożystego drzewa, na którym się wygodnie usadowił, przypatrywał się gorączkowemu ożywieniu, panującemu w obrębie obozu. Zdawał sobie sprawę z własnej siły. Wiedział jednak, że nieostrożnością byłoby narażać się na nierówną walkę. Postanowił użyć podstępny, aby osiągnąć zamierzony cel.

Obgryzając leniwie udo jelenia człowiek-małpa wyczekiwał w swej kryjówce chwili stosownej dla rozpoczęcia poszukiwań. Czekał cierpliwie, dopóki cała osada nie pogrążyła się we śnie. Wówczas zeskoczył z drzewa, zakradł się pod ostrokół i koniec sznura, zwieszającego mu się u pasa, zarzucił na jeden z pali. Wciągnął się po nim na ogrodzenie i następnie ostrożnie zsunął na ziemię.

Przed nim rozciągał się szereg namiotów i lepianek. Zakradał się do każdego z nich po kolei. Węszył dookoła, nie odnajdując upragnionego śladu. W końcu jednak, w pobliżu jednego z namiotów odczuł silnie rozchodzącą się woń Werpera. Wsunął się do wewnątrz namiotu, rozglądając się w ciemnościach. Nie było tu nikogo. Podeszedł do pośłania, na którym leżał stos derek i poduszek. Śpiącego jednak nie było. Jedyne poruszona, tylna kotara namiotu wskazała

Tarzanowi, że człowiek, którego szukał, tamtędy właśnie musiał się wymknąć... Zaczął śpiesznie podążać tym śladem. Odnajdywał w cieniu chat i namiotów odciski stóp białego człowieka.

Najwidoczniej uciekający starał się niespostrzeżenie wymknąć z osady. Doszedłszy do jednej z lepianek człowiek-małpa zauważył, że ślad, za którym podążał, skręcił do wnętrza chaty.

Tarzan wsunął się do środka przez wyłom w tylnej ścianie. W lepiance, oprócz różnych innych woni, jego wrażliwe nozdrza rozpoznały delikatny zapach kobiety, który wywołał w jego zaćmionym umyśle dziwny niepokój. Zapach Belga mieszał się z tą wonią; dziwne podniecenie ogarnęło Tarzana. Zaczął gorączkowo szukać swego kołczanu z kamykami. Nie znalazł jednak nic. Stwierdziwszy, że człowiek, którego ścigał, krótko tylko przebywał w chacie i musiał wymknąć się tą samą drogą, wysunął się więc ponownie z lepianki i, natrafiwszy na dalszy ślad Belga, puścił się za nim w pogoń, zagłębiając się w dżungłę..nv

Rozdział XV

Ucieczka Werpera

Kiedy Werper ułożył kukłę na swoim posłaniu i wymknął się przez tylną ścianę namiotu, udał się prosto do lepianki, w której więziona była Jane Clayton.

Przed drzwiami leżał czarny strażnik. Werper zbliżył się śmiało do niego; szepnął mu do ucha parę słów, podał paczkę tytoniu i wszedł do lepianki. Czarny uśmiechnął się, mrugnął przyjaźnie do Belga, który - jako pomocnik Achmeda Zeka - miał wolny wstęp do wszystkich chat i namiotów w obozie.

Wszedłszy do wnętrza Werper zaczął wołać przyciszonym głosem, po francusku:

- Lady Greystoke, Lady Greystoke! To ja, Frecoult. Gdzie pani się znajduje?

Nie usłyszał jednak żadnej odpowiedzi. Obmacawszy starannie wnętrze lepianki zauważył wyłom w tylnej ścianie. Werper domyślił się, że kobieta, której szukał, wymknęła się z więzienia, uprzedziwszy jego zamiary. Nie tracąc czasu wybiegł z chaty, lękając się o własne bezpieczeństwo

- Achmed Zek bowiem lada chwila mógł odkryć jego nieobecność. Werper zamierzał dopomóc Lady Greystoke w ucieczce z dwóch powodów: Po pierwsze, chciał ocalając ją zapewnić sobie wdzięczność Anglików i w ten sposób zmniejszyć karę (jaka by go czekała, gdyby morderstwo, popełnione przez niego na osobie kapitana, zostało odkryte). Drugim powodem było to, że jedynym bezpiecznym kierunkiem, w którym mógł uciekać, była droga na wschód - wiodąca przez posiadłości angielskie (na zachodzie bowiem rozciągały się posiadłości belgijskie, na północy krążyły koczownicze plemiona arabskie oraz krajowcy sprzymierzeni z Achmedem Zekiem, na południu zaś grasował straszny człowiek-małpa, którego Werper pozbawił klejnotów). W ten sposób Werper, w towarzystwie utytułowanej angielskiej damy, którą wybawił od strasznego losu mógł - podając się za Francuza Juliusza Frecoult - ujść czujności władz policyjnych i dostać się pod protektorat Anglii.

Teraz jednak, po zniknięciu Lady Greystoke, prawdopodobieństwo ocalenia zmniejszyło się znacznie. W każdym razie postanowił dążyć na wschód. Skoro więc tylko znalazł się w dżungli, skierował się w tę stronę.

O kilka mil od niego, nieco na południe, Jane Clayton siedziała, dysząc ze zmęczenia, na gałęzi wysokiego drzewa. Schroniła się na niej, uciekając przed głodną lwicą.

Ucieczka z osady poszła jej łatwiej, niż się spodziewała. Nożem, znalezionym w lepiance, służącej jej za więzienie, wykroiła otwór w tylnej ścianie chaty. W cieniu namiotów przeszła niepostrzeżenie aż do ostrokołu. Tam dwa pale, przeznaczone do budowy chaty - ułożone jeden na drugim - ułatwiły jej wydostanie się poza obręb palisady.

Przez godzinę szła w kierunku południowym. Nagle jej wprawne ucho rozróżniło ciche kroki śledzącego ją zwierzęcia. Schroniła się na najbliższe drzewo - doświadczenie bowiem nauczyło ją już, że w takich chwilach nie wolno zwlekać z ucieczką.

Werper zaś szedł, nie napotkawszy żadnej przeszkody, aż do świtu. Ale nagle, ku swemu

przerażeniu, spostrzegł arabskiego jeźdźca - jednego z ulubieńców Achmeda Zeka, który go ścigał z rozkazu straszliwego Araba.

Dotychczas jeszcze ucieczka Jane Clayton nie została wykryta. Tylko Achmed Zek, wszedłszy do namiotu Werpera z zamiarem zamordowania go i zawładnięcia jego klejnotami, nie zastał go na posłaniu... Miotał się w bezsilnej wściekłości na myśl o tym, że Belg okazał się chytrzejszy od niego i zabrawszy klejnoty, wymknął mu się z rąk.

Ostatnim człowiekiem, który widział Werpera przed ucieczką był ów czarny strażnik, strzegący lepianki Lady Greystoke. Ten jednak, w obawie przed karą, jaka by go spotkała niechybnie z rąk Achmeda Zeka, nie zdradził się ani słowem, że wpuścił Belga do uwięzionej Angielki.

Werper widząc pogoń skrył się w gęstwinę rosnących opodal krzewów. Nagle zamarł z przerażenia, bo oto naprzeciw niego, spoza kępy drzew, wyłoniła się straszliwa postać lwa. Werper nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Śledził tylko, co się dalej stanie, czując na sobie groźne spojrzenie żółtych źrenic olbrzymiego kota. Jednocześnie z przeciwnej strony zbliżał się pędem ścigający go Arab.

Werper zastanawiał się z trwogą na kogo król pustyni rzuci się najpierw?... Doznał uczucia niemałej ulgi, gdy zobaczył, że lew przestał spoglądać na niego, a zaczął śledzić pilnie nieświadomego niczego jeźdźca, który zbliżał się do kryjówki Belga. Lew przyczał się i skoczył na Araba, obalając go jednym uderzeniem na ziemię. Werper skorzystał w mgnieniu oka z okazji.

Wskoczył na wylęknionego konia i, ubodłszy go ostrogami, popędził przed siebie.

W pół godziny później nagi olbrzym, przeskakujący z gałęzi na gałąź, zatrzymał się w swej wędrówce. Wchłaniając nozdrzami świeżość poranka zwęszył zapach krwi, zmieszany z wonią lwa Numy. Olbrzym przechylił głowę na bok i nasłuchiwał przez chwilę.

Z niewielkiej odległości dochodziły go odgłosy, zwiastujące ucztę lwa. Trzaskanie kości,

hałaśliwe łykanie wielkich kęsów, zadowolone mruczenie - wszystko to dowodziło bliskości posilającego się króla zwierząt.

Tarzan szybko dotarł do miejsca uczty i z gałęzi, na której siedział, przypatrywał się bezkształtnej, zakrwawionej masie mięsa, starając się rozpoznać w niej człowieka, który mu wykradł klejnoty.

Numa tymczasem, spostrzegłszy przybysza, wydał groźne, ostrzegawcze mruknięcie.

Tarzan, który postanowił z bliska przyjrzeć się zamordowanej ofierze, próbował odciągnąć Numę od łupu. Rzucił w niego małe gałązki, wykrzykiwał obelgi; gdy to nie pomogło, wypuścił z łuku strzałę. Ta, trafiwszy lwa w kręgosłup, obezwładniła go zupełnie. Wówczas człowiek-małpa zanurzył mu nóż w serce. Uśmierciwszy Numę, zabrał się do oglądania ciała zamordowanego człowieka.

Twarzy nie było już widać. Arabskie szaty nie dowodziły niczego. Tarzan wiedział bowiem, że Werper, żyjąc wśród Arabów, łatwo mógł dostać od nich ten strój. Przekonany więc, iż był to ten sam człowiek, który go okradł, Tarzan obszukał starannie zwłoki, aby znaleźć kołczan z klejnotami. Nie znalazłszy nic, postanowił zawrócić do osady Arabów aby raz jeszcze poszukać tam swego skarbu.

Zaledwie oddalił się stamtąd, gdy wysoki, czarny wojownik nadszedł do miejsca lwiej uczty. Był to Mugambi, szukający swej pani. Ujrzawszy martwego lwa, który był jeszcze ciepły, zaczął się zastanawiać nad tym, kto i w jaki sposób uśmiercił go. Tarzan bowiem, zawlókłszy ciało zamordowanego lwa do pobliskiego rowu, wyjął z cielska dwie strzały, które zadały śmiertelny cios. Na twarzy Mugambiego badającego ciepłe jeszcze lwie szczątki odbiło się wielkie zdumienie - nie znalazł bowiem narzędzia mordu. Potrzęsawszy głową jął dalej iść przed siebie. Podwoił jednakże ostrożność.

Wędrując przez cały dzień, raz po raz powtarzał wyraz "Lady". Wygłaszał go na wszystkie

tony spodziewając się, że zostanie usłyszany przez swą panią. Tymczasem jego pełna poświęcenia gorliwość sprowadziła nań nieszczęście.

Z północnego wschodu, na czele oddziału abisyńskich żołnierzy, nadciągał Abdul Murak.

Ścigał on arabskiego rozbójnika Achmeda Zeka, który przed pół rokiem ośmielił się wykraść z posiadłości cesarza Menelika siedemdziesięciu niewolników.

Zdarzyło się przypadkiem, że Abdul Murak zatrzymał się na krótkim postoju, w samo południe, na tym samym szlaku, którym Werper i Mugambi podążali na wschód. Belg, nieświadomy ich obecności, wjechał na spienionym ucieczką koniu w sam środek Abisyńczyków.

Ci otoczyli go natychmiast i zepchnęli z siodła, aby go zaprowadzić do swego dowódcy.

Werper zapewnił Abdula Muraka, iż jest Francuzem polującym w Afryce; że został ograbiony przez rozbójników, którzy pozabijali jego ludzi - sam zaś cudem tylko wymknął się z ich rąk.

Wywnioskowawszy z rozmowy z Abisyńczykiem, że ten ściga Achmeda Zeka, nabrał odwagi. Natychmiast oświadczył, że uważa tego ostatniego za swego największego wroga.

Zniechęcił jednocześnie Abdula Muraka do dalszego pościgu zapewniając go, iż Achmed Zek ma liczny oddział ludzi pod swymi rozkazami i że dąży forsownym marszem na południe.

Murak, przekonany iż pościg zająłby mu zbyt wiele czasu (oraz, że wynik walki mógłby się dla niego okazać niepomysłny) chętnie zmienił swe zamiary. Wydał rozkaz, by żołnierze rozłożyli tu obóz, postanawiając niebawem wyruszyć w drogę powrotną do Abisynii.

Przed wieczorem uwaga całego obozu została zwrócona uporczywym wołaniem tubalnego głosu, powtarzającego wciąż jeden wyraz: "Lady! Lady! Lady!"

Kilku żołnierzy wyruszyło na zwiad w stronę owego głosu. Wrócili pół godziny później, ciągnąc za sobą Mugambiego. Pierwszą osobą, którą Murzyn zauważył, gdy został postawiony przed obliczem Abdula Muraka, był Juliusz Frecoult - ów Francuz, który gościł u jego pana - a

którego zobaczył później wchodzącego swobodnie do osady rozbójników arabskich.

Mugambi czuł dziwną podejrzliwość wobec tego człowieka; wyczuwał bowiem związek pomiędzy jego osobą a klęskami, jakie ostatnio nawiedziły posiadłość Greystoke'ów. Dlatego, korzystając z tego, iż Werper najwidoczniej go nie poznawał, nie przypominał się jego pamięci. Pomimo próśb i tłumaczeń Mugambiego, który twierdził, że zabawiał się tylko polowaniem w tych dzikich stronach, Abdul Murak - zachwycony jego budową - postanowił zabrać go ze sobą do Addis Abeby, by podarować go Menelikowi. Chwilę później Mugambi i Werper ruszyli, pod silną strażą, razem z Abisyńczykami. Belg próbował się bronić przeciw podobnemu traktowaniu, ale towarzyszący mu żołnierz silnym uderzeniem w twarz zmusił go wkrótce do milczenia. Mugambi mniej brał do serca swoje położenie - pewny, że prędzej czy później uda mu się wymknąć spod tej przymusowej opieki. Starał się usilnie zasłużyć na względy Abisyńczyków; wypytywał ich o cesarza Menelika, objawiał również wielką chęć poznania wszystkich cudów stolicy Abisynii - Addis Abeby. W ten sposób uspił wszelkie podejrzenia co do swych zamiarów ucieczki. Powoli przestali go tak surowo pilnować.

Korzystając z tego, że siedł obok Werpera, Mugambi starał się wybadać Belga, jak dalece ten ostatni był powiadomiony o napaści rozbójników na bungalow Greystoke'ów, oraz o losie Tarzana i Lady Greystoke. Nie chcąc jednak wyjawiać swej tożsamości zmuszony był poprzestać na ogólnikowej rozmowie.

W końcu jednak prosty przypadek wyjawiał mu bardzo zadziwiający szczegół. Pewnego skwarne popołudnia cała karawana rozłożyła obóz nad rzeką, której piaszczyste dno nie zdradzało obecności krokodyli. Abisyńczycy jęli odprawiać rytualne obmywanie, Werper zaś i Mugambi otrzymali pozwolenie zażycia ochładzającej kąpieli.

Mugambi zauważył ostrożność, z jaką Werper zdejmował ubranie - osobliwie zaś pas, który szczególnie starannie przykrył koszulą, z widoczną chęcią ukrycia jego zawartości.

Zaciekawiony Murzyn nie spuszczał oka z towarzysza. Gdy więc ten, w swoim zmieszaniu, upuścił starannie ukrywany przedmiot, Mugambi zobaczył, gdy na ziemię spadł skórzany kołczan, jak posypały się z niego kosztowne klejnoty.

Mugambi podróżował wiele ze swym panem; zdarzyło mu się być nawet w Londynie. Nie zbywało mu przy tym na wrodzonej przebiegłości i sprycie - z łatwością więc ocenił wartość drogich kamieni. Co jednak bardziej jeszcze pobudziło jego ciekawość, to ów kołczan, który nieraz widywał u Tarzana gdy jego pan, pragnąc przypomnieć dawne czasy, zawieszał go na sobie i - uzbrojony tylko w łuk i myśliwski nóż - wybierał się wraz ze swymi wiernymi Murzynami na polowanie na lwy i lamparty.

Werper spostrzegł, że Mugambi zobaczył kołczan i klejnoty. Jął zbierać z pośpiechem drogocenne kamyki, chowając je do kołczanu. Tymczasem Mugambi, przybierając obojętną minę, poszedł pluskać się w rzece.

Nazajutrz rano Abdul Murak z oburzeniem i złością stwierdził, że jego czarny olbrzym, którego zamierzał podarować Menelikowi, znikł bez śladu. Werper miał również powody do zmartwienia... Uciszył jednak swój niepokój stwierdziwszy, macając kołczan, że kamyki nie zostały zeń wyjęte.

Rozdział XVI

Tarzan na czele Manganich

Achmed Zek z dwoma ludźmi wybrał się konno w stronę południową, aby przeszkodzić w ucieczce Werpera. Około południa zatrzymali się na krótki postój i przysiedli na polance w cieniu drzew. Wódz rozbójników był wściekły: zostać wywiedzionym w pole przez niewiernego psa było już dotkliwym wstydem; najbardziej jednak cierpiała jego chciwość - utracił przecież kosztowne klejnoty, które uważał już za swoje!...

Pocieszał się w każdym razie myślą, że ma jeszcze swoją brankę. Dostanie za nią - myślał -

dobrą cenę na północy. Dodatkowo pozostał mu jeszcze ów skarb, zakopany w pobliżu farmy Greystoke'ów.

Uwagę jego zwrócił lekki szmer w dżungli, po drugiej stronie polanki. Nakazawszy milczenie swoim dwu towarzyszom chwycił za fuzję, po czym wszyscy trzej ukryli się za krzakami, nasłuchując. Szmer się wzmaczał.

Nagle rozsunęły się liście i z gęstwiny wychyliła się kobieca głowa, rozglądająca się ze strachem na wszystkie strony. Chwilę później ukazała się cała postać młodej kobiety, w której Achmed Zek, z trudnością powstrzymując gniew i oburzenie, rozpoznał swoją brankę. Najwidoczniej była sama, jednak Achmed Zek postanowił przeczekać, aby się przekonać, czy tak było w istocie.

Jane Clayton z wolna przechodziła przez polankę. Od czasu, gdy opuściła wioskę rozbójników już dwa razy wymknęła się ze szponów dzikich zwierząt. Raz zaś o mało nie wpadła w ręce jednego z wysłańców, poszukujących Werpera. Zaczęła już wątpić w możliwość ocalenia - postanowiła jednak wytrwać do końca, choćby śmierć miała położyć kres jej wysiłkom. Arabowie przypatrywali się jej z kryjówki, czekając z zadowoleniem, aż wpadnie w ich szpony. Tymczasem również inna para oczu przyglądała się całej tej scenie poprzez gęste liście pobliskiego drzewa.

Stalowe oczy o dzikim blasku rzucały teraz zakłopotane i strapione spojrzenia; patrzący usiłował przypomnieć sobie coś, co związane było z uroczą postacią kobiecą, którą widział. Nagły trzask gałęzi w miejscu, z którego się wyłoniła Jane, przeraził ją - zatrzymała się na chwilę w niepewności, co ma czynić. Arabowie w swej kryjówce, właściciel szarych oczu - spoglądali poprzez liście. Wszyscy trwali w oczekiwaniu...

Jane obejrzała się za siebie by zobaczyć, jakie nowe niebezpieczeństwo jej groziło. W tej samej chwili wielka, antropoidalna małpa wyłoniła się z gęstwiny - za nią zaś kilka innych.

Wszystkie zbliżały się do Lady Greystoke wyciągając ku niej swe wielkie, kosmate łapy. Z tłumionym okrzykiem rzuciła się w przeciwną stronę, wpadając na Achmeda Zeka i jego dwóch towarzyszy. Ci pochwycili ją i trzymali silnie. W tej samej chwili nagi, brunatnoskóry olbrzym zeskoczył z gałęzi drzewa i - zwracając się do małp - powiedział gardłowym głosem szereg niezrozumiałych wyrazów. Zdumione małpy posłuchały rozkazu i - rzuciły się na Arabów...

Achmed Zek ciągnął opierającą mu się Jane Clayton do swego osiodłanego wierzchowca.

Wyrywając mu się z całej mocy ujrzała nagle biegnącego ku niej człowieka-małpę.

- John! - zawołała. - Dzięki Bogu, że się zjawiłeś na czas!

Za Tarzanem szły wielkie małpy, zdziwione nieco, ale posłuszne jego rozkazom. Achmed Zek rozkazał swym ludziom otworzyć ogień; sam wystrzelił jednocześnie z nimi. Tarzan padł w wysoką trawę, trafiony kulą. Obok niego zwały się na ziemię dwie wielkie, kosmate małpy.

Odgłos wystrzałów przeraził resztę małp - Arabowie zaś, korzystając z zamieszania, umieścili zrozpaczoną kobietę na wierzchowcu Achmeda Zeka. Dosiadłszy koni, pędem puścili się w stronę zbójckiej osady. Tam nieszczęsna Jane, mocno związana, została wrzucona do tej samej lepianki co przedtem. Tym razem postawiono przed nią dwóch strażników.

Gońcy, wysłani w pogoń za Werperem, wrócili z niczym. Wściekłość Achmeda Zeka, którego chciwość została tak srodze zawiedziona, nie miała granic.

Gdy Arabowie zniknęli z pola widzenia, wielkie małpy zwróciły się do powalonych na ziemię towarzyszy. Jedna z nich już nie żyła. Ale inna - jak również wielka biała małpa - dawały oznaki życia.

Tarzan pierwszy odzyskał przytomność. Usiadł, rozglądając się wokół siebie.

Krew spływała mu z rany na ramieniu. Został na chwilę ogłuszony strzałem, daleki był jednak od śmierci. Podniósłszy się na nogi spojrzał na miejsce, w którym niedawno jeszcze widział istotę, budzącą w nim jakieś odległe, nieokreślone wspomnienia i dziwne wzruszenie.

- Gdzie ona jest? - zapytał towarzyszy.

- Porwał ją Tarmangani - odparł jeden z potworów.

- Ale kim ty jesteś, który mówisz językiem Manganich?

- Jestem Tarzanem - odpowiedział człowiek-małpa.

- Wielkim łowcą i możnym siłaczem. Gdy ryczę - milknie dżungla, drżąc z trwogi. Jestem Małpim Tarzanem. Nie było mnie długo, ale wróciłem do swej gromady.

- Tak - potwierdziła sędziwa małpa.

- To Tarzan, poznaję go. Dobrze, że wrócił; będziemy mieli dobre łowy.

Inne małpy podeszły do Tarzana, obwąchując go ze wszystkich stron. Wreszcie, uznawszy w nim swego sprzymierzeńca, zwróciły się do drugiej rannej małpy. Ta również nie odniosła większego szwanku. Małpy, uspokoiwszy się, opowiedziały nowemu towarzyszowi, że dążyły na wschód - kiedy niespodziewanie doleciała je woń kobiety. Postanowiły ją wytropić, ale - nie osiągnąwszy powodzenia - zamierzają podjąć dalej przerwana podróż.

Tarzan jednak, któremu jakieś nieokreślone przecucie kazało dążyć do spotkania z Jane Clayton, jął namawiać antropoidy aby towarzyszyły mu do osady Arabów. Oprócz pragnienia ujrzenia owej uroczej istoty kierowała nim chęć odzyskania kołczanu z klejnotami.

Pomimo usilnych starań z jego strony, z całego stada, tylko dwa antropoidy zgodziły się na tę wspólną wycieczkę: młody Czulk i starszy już, ale najbardziej ze wszystkich małp w stadzie przebiegły, Taglat.

Ku niezadowoleniu Tarzana jego towarzysze zatrzymywali się po drodze dla łapania robaków lub wyrywania korzeni, które łakomie ssali. Nie okazywał im jednak swego zniecierpliwienia - albowiem potrzebni mu byli do wykonania pewnego planu, mającego zapewnić powodzenie w porwaniu istoty, która bez jawnej przyczyny była tak bliska jego sercu.

Przeskakiwali w milczeniu z gałęzi na gałąź. Po drodze napotkali starego Araba oraz dwóch

murzyńskich pachołków, odzianych w białe burnusy. Tarzan skinął na towarzyszy i wszyscy trzej napadli na nieświadomych niebezpieczeństwa wędrowców. Ogłuszywszy ich silnymi uderzeniami zwlekli z nich burnusy, z którymi uciekli na drzewo. Tam Tarzan, odziewszy się, skinął na towarzyszy, aby uczynili to samo. Czulk wraz z Taglatem, skwapliwie posłuchawszy rozkazu, jęli się puszyć w swoich niezwykłych strojach - utrudniających im nieco zwykły sposób skakania po wierzchołkach drzew.

Była już noc, gdy dotarli do ostrokołu otaczającego osadę Tarmanganich. Tarzan przedostał się do wnętrza pierwszy; odpasął włócznie i podał jej koniec Taglatowi, który zwinnie zeskoczył na drugą stronę. W taki sam sposób dostał się do środka i Czulk. Korzystając z ciemności, Tarzan zaprowadził ich najpierw pod lepiankę, w której podczas swej pierwszej bytności odczuł woń Jane Clayton.

Obwąchawszy starannie chatę i przekonawszy się, że poszukiwana istota znajduje się tam również obecnie, Tarzan podprowadził małpy do namiotu Achmeda Zeka. Przechodzący Arab i dwaj niewolnicy spostrzegli ich; noc jednak była ciemna - a pod białymi burnusami trudno było dostrzec, że ukrywają one dwie kosmate małpy i olbrzyma, żywiącego wrogie zamiary wobec całej osady.

Trzy postacie przykucnęły za namiotem Achmeda Zeka. W namiocie Arab rozmawiał ze swymi dowódcami, Tarzan zaś podsłuchiwał jego rozmowę.

Rozdział XVII

Jane w niebezpieczeństwie

Porucznik Albert Werper przerażony myślą o tym, co go może czekać w Addis Abebie, zastanawiał się nad możliwością ucieczki. Abisyńczycy jednak, po doświadczeniu z Mugambim, podwoili teraz czujność, by nie dać mu się wymknąć z niewoli.

Początkowo Werper chciał zaofiarować Abdulowi Murakowi okup, przeznaczając nań

połowę zawartości kołczana. Lękał się jednak, aby chytry Abisyńczyk nie zażądał wszystkich klejnotów. Wpadł więc na inny pomysł, którego powodzenie mogło mu zapewnić bezpieczne posiadanie całości skarbu, wykradzionego Tarzanowi.

W parę dni po ucieczce Mugambiego Werper poprosił o posłuchanie u Abdula Muraka.

Srogi Abisyńczyk siedział zły i zachmurzony; na widok Werpera jego twarz przybrała wyraz pogardy.

- Czego chcesz? - zagadnął Belga, marszcząc brwi.

- Przyszedłem cię prosić o zwrócenie mi wolności - oświadczył Belg.

Abisyńczyk zachnął się gniewnie:

- Ośmielasz się zaprzętać mi głowę podobnym głupstwem? Nie minie cię za to kara - rzekł groźnie.

- Mogę zapłacić ci okup - ciągnął Werper.

Abdul Murak roześmiał się szyderczo:

- Zapłacić? Ty? Czym? - Może łachmanami, którymi jesteś odziany. A może chowasz za pazuchą tysiąc funtów kości słoniowej? Precz stąd! Głupiec z ciebie. Nie próbuj nachodzić mnie więcej, bo każę cię obić.

Niezrażony tym przyjęciem Werper nalegał dalej; wszak chodziło o jego wolność, a może nawet i o życie!

- Posłuchaj mnie - przekonywał. - Jeżeli będę ci mógł dostarczyć tyle złota, ile go może udźwignąć dziesięciu ludzi, czy obiecujesz odstawić mnie do najbliższego angielskiego konsulatu?

- Tyle złota ile może udźwignąć dziesięciu ludzi? - powtórzył Abdul Murak. - Oszalałeś chyba! Skąd weźmiesz taką ilość?

- Wiem, gdzie jest ono schowane - rzekł Werper. - Obiecuj mi tylko wolność, a zaprowadzę cię na miejsce.

Abdul Murak przestał się śmiać. Przypatrywał się bacznie Belgowi. Wyglądał przytomnie.

Jednakże dziesięć ładunków złota! To było coś nadzwyczajnego!

- No dobrze, gdybym ci obiecał wolność - rzekł. - Jak daleko stąd znajdują się owe skarby?

- Trzeba liczyć dobry tydzień marszu na południe - odparł Werper.

- Jeżeli nie znajdziemy złota, o którym wspominasz - czy wiesz, jaką otrzymasz karę? -

pytał dalej Abdul Murak.

- Jeżeli nie znajdziesz tam nic, oddam ci moje życie - odparł Belg. - Wiem, że tam jest złoto gdyż widziałem na własne oczy, jak je zakopywano. Jest tam dosyć brył złota nie tylko na dziesięć, ale i na pięćdziesiąt ładunków. Wszystko to będzie twoje jeśli mi obiecasz, że doprowadzisz mnie bezpiecznie do Anglików.

- Pamiętaj więc, że zginiesz, jeśli się zawiodę - rzekł groźnie Abisyńczyk. - Ze swej strony obiecuję ci, że jeżeli znajdę tam choćby pięć ładunków złota, daruję ci wolność. Dopóki jednak owo złoto nie znajduje się w moim posiadaniu, pozostaniesz w niewoli.

Werper skinął głową na znak zgody.

Nazajutrz z rana żołnierze Abdula Muraka zdumieni się, otrzymawszy rozkaz marszu na południe. Zdarzyło się więc, że tej samej nocy, której Tarzan wraz z dwiema małpami wszedł do wioski arabskich rozbójników, Abisyńczycy obozowali już o kilka zaledwie minut na wschód od owej miejscowości.

Podczas gdy Werper marzył o wolności i wielkim bogactwie zawartym w kołczanie, a Abdul Murak nie mógł zasnąć podniecony myślą o pięćdziesięciu ładunkach złota, Achmed Zek wydawał rozkazy ludziom, którzy mieli nazajutrz wyruszyć w stronę zrujnowanego duaru Anglika - po owe nadzwyczajne bogactwa, o których wspominał mu jego dawny wspólnik Werper.

W tym czasie pod jego namiotem przycisnął się milczący słuchacz, wyczekujący stosownej chwili, aby wejść do środka i odebrać kołczan z kolorowymi kamyczkami, które tak mu utkwili w

pamięci.

Achmed Zek wyszedł wraz z towarzyszami z namiotu, pozostawiając go bez straży. W tej samej chwili tylna ściana namiotu została rozcięta nożem, przez otwór zaś wszedł cicho Tarzan, a za nim Czulk. Taglat bowiem, żywiący pewien chytry zamiar, który starannie ukrywał przed swym przewodnikiem, nie poszedł za nimi ale zniknął w ciemnościach, śpiesznym krokiem dążąc do lepianki, w której przebywała Jane.

Zwierzę, obejrzawszy lepiankę ze wszystkich stron, podeszło do bocznej ściany. Strażnicy stojący przed chatą zajęci byli rozmową, nie domyślali się więc niczyjej obecności w pobliżu. Taglat, cofnąwszy się najpierw o kilkanaście kroków, rozpędził się i wskoczył w biegu na dach lepianki, który pod jego ciężarem pękł. Wpadł przez otwór i w jednej chwili, porwawszy wylęknioną kobietę w potężne ramiona, jął z nią uciekać tą samą drogą. Kiedy już zniknął w otworze, strażnicy zwabieni niezwykłym hałasem walącego się dachu wbiegli do lepianki. Jane gubiła się w przypuszczeniach, kim mógł być jej obrońca.

Biały burnus zasłaniał go całkowicie - nie mogła więc dostrzec jego rysów. Nie chciała uwierzyć, iż mógł to być Tarzan. Przecież ostatni raz widziała go, jak leżał na pustyni powalony strzałem Araba. Któż jednak, jak nie on, miałby tyle siły, aby z podobnym ciężarem tak śmiało przeskakiwać z drzewa na drzewo?

Kiedy już ów tajemniczy obrońca znalazł się wraz ze swym ciężarem dość daleko od arabskiej osady, Jane kilkakrotnie wymówiła imię męża. Wówczas biała postać - której burnus przeszkadzał w ucieczce - nagłym ruchem zdarła go z siebie. Oczom struchlałej kobiety ukazała się olbrzymia, antropoidalna małpa, trzymająca ją silnie w kosmatych łapach.

Nieszczęśliwa zemdląła z przerażenia.

Tymczasem w gęstwinie dżungli, o parę kroków dalej, lew przyglądał się dziwnej parze zgłodniałymi oczyma. Oblizywał się, zawczasu, na myśl o smacznych kęsach.

Rozdział XVIII

Walka o skarb

Tarzan, wszedłszy do namiotu Achmeda Zeka, przetrząsnął dokładnie wszystkie kąty w poszukiwaniu kołczanu z kamykami. Nie znalazł go jednak nigdzie. Postanowił więc udać się do lepianki, w której wyczuł obecność białej kobiety - budzącej w nim tak nieokreślone, a jednak uporczywe wspomnienia.

Gdy jednak zbliżył się do lepianki, jakiś Arab, wysuwając się z gromady towarzyszy i kładąc mu rękę na ramieniu, zapytał ostro:

- Kto ty? - Jednocześnie zerwał mu kaptur z głowy.

Tarzan, nie namyślając się, ścisnął za kark nieszczęsnego Araba i skręcił mu go. Zasłaniając się trupem niby tarczą przed nacierającymi Arabami, wszedł do lepianki Jane Clayton.

Rozejrzawszy się po opustoszałym wnętrzu chaty ją węszyć na wszystkie strony. Wyczuł woń Taglata, zmieszaną z zapachem białej kobiety. Zauważywszy otwór w dachu, przez który przed chwilą wymknął się wielki antropoid unoszący Jane, podążył tą samą drogą, aby przyłapać go, wydrzeć mu łup i ukarać za zdradę.

Taglat tymczasem, zatrzymawszy się w ustronnym miejscu w dżungli, złożył na ziemi swą nieszczęsną ofiarę próbując rozluźnić jej więzy. Tarzan był już na tropie zbiegów; ale okrutny los oddalił i tym razem ratunek od Jane. Wiatr zaczął wiać w przeciwnym kierunku, oddalając od Tarzana woń Taglata, którą ten kierował się w swoim pościgu. Człowiek-małpa minął osobliwą parę w odległości pięćdziesięciu metrów, nie domyślając się wcale jej obecności.

Nie zniechęciło to jednak Tarzana. Przekonany był, że w końcu odnajdzie podstępnego Taglata i sownie mu za złośliwy figiel odpłaci.

Przenocowawszy skurczony na gałęzi drzewa, o świcie pomyślał o posiłku. Poczul z daleka zapach jelenia, zaczął więc dążyć w tamtą stronę. Zdziwiło go jednak, że ten ucieka, jakby

spłoszony jakimś niebezpieczeństwem. Tarzan nie dostrzegł nigdzie obecności jakichkolwiek drapieżców w dżungli. Niebawem jeleni wrócił. Tarzan zręcznym susem spadł zwierzęciu na kark, skręcił go i - w okamgnieniu - wciągnął bezwładne ciało na górną gałąź drzewa, na którym siedział wcześniej. Wkrótce ujrzał przyczynę strachu, który zagnał jelenia w jego sidła.

Oto wijącym się w dżungli szlakiem podążała karawana Abisyńczyków. Między nimi

Tarzan rozpoznał sprawcę kradzieży swych kolorowych kamyków, Alberta Werpera. Człowiek-małpa, aczkolwiek pałał żądzą zemsty, nie zdradził najlżejszym szmerem swej obecności.

Wiedział, iż zbyt trudnym zadaniem byłoby dla niego rzucenie się na Belga, otoczonego zbrojnymi jeźdźcami. Postanowił odczekać na lepszą możliwość skutecznego wykonania swego zamiaru.

Przeskakując z gałęzi na gałąź dążył więc w ślad za karawaną, kierującą się na południe. Na swych obnażonych barkach dźwigał jeleni comber aby móc zaspokoić głód - przewidywał bowiem, iż nieprędko nadarzy mu się równie smaczny kąsek.

Po dwóch dniach forsownego marszu karawana stanęła na rozległej równinie, rozciągającej się u podnóża gór. Okolica wzbudziła w Tarzanie jakieś dziwne, nieokreślone wspomnienia...

Niebawem jednak jego uwagę zwróciło zachowanie się Abisyńczyków, którzy - rozłożywszy obóz, poczęli gorączkowo kopać w ziemi pod przewodnictwem Werpera. Ku zdumieniu Tarzana zaczęli skwapliwie wyciągać żółte bryłki, zmieszane z błotem i ziemnym mułem. Ich widok witali oznakami ogromnej radości. Tarzan przypomniał sobie, że Gomangani chowali kiedyś owe bryłki.

Ogarnęła go teraz złość na Belga, który najwidoczniej - podpatrzywszy ich robotę - naprowadził teraz na to miejsce Tarmangani, aby ich pozbawili owych cacek. Tarzan postanowił nie pozwolić, aby czarnym ludziom zabrano ich bryłki, tak jak jemu zabrano kolorowe kamyki. Postanowił udać się do czarnych i zawiadomić ich o kradzieży. Ale gdzie ich szukać? - Gdy się nad tym zastanawiał, jego czujne ucho rozróżniło odległy jeszcze, ale coraz wyraźniejszy, tętent najeżdżających koni. Odgłosy te usłyszał również i Abdul Murak. Oderwał się od stosu złota,

któremu przyglądał się z zachwytem i trącił Werpera, stojącego nad kopiącymi. Belg rozejrzał się wokół. Nagle zbladł śmiertelnie - gdyż oto z dżungli wyłoniły się białe burnusy jeźdźców. W jednym z nich struchlały Werper rozpoznał srogi Achmeda Zeka...

- To Achmed Zek i jego ludzie - rzucił gorączkowym szeptem Abdulowi Murakowi. -

Przyjechali po złoto!

W tej samej chwili orli wzrok Achmeda Zeka dostrzegł stos złota, otoczony przez Abisyńczyków. W mgnieniu oka zrozumiał wszystko. Ogarnęła go straszliwa złość na myśl o doznanych niepowodzeniach; nie dość, że Belg wraz z klejnotami wymknął mu się z rąk, to teraz jeszcze owe skarby, które uważał za swoją własność, dostały się w niepowołane ręce. Rzuciwszy Arabom dziki okrzyk bojowy rzucił się na ich czele na obóz Abdula Muraka, siejąc wśród ludzi przeciwnika śmierć i zniszczenie.

Tarzan, siedząc na drzewie, przypatrywał się walczącym. Obojętny był mu wynik walki, chodziło jedynie o wyczekanie stosownej chwili; chciał przyłapać Werpera, odebrać mu kołczan z klejnotami i należycie go ukarać. Nagle jakiś Arab - walczący zawzięcie z jednym z Abisyńczyków - podjechał pod jego kryjówkę. Arab pokonał Abisyńczyka, który ciężko ranny spadł z konia.

Wówczas człowiek-małpa wskoczył na wierzchowca i popędził pełnym galopem przez równinę w pościgu za Werperem, który - lękając się zemsty Achmeda Zeka - rzucił się do ucieczki. Srogi Arab, dysząc chęcią zemsty, ścigał go z całej mocy.

Całą godzinę trwał krwawy bój. W końcu Abisyńczycy zostali zniszczeni do szczętu. Zek puścił się w pogoń za Abdulem Murakiem i Werperem, zaś jego ludzie, upojeni zwycięstwem, rozsiedli się na poboju czekając na powrót wodza. Po dłuższym oczekiwaniu postanowili zostawić złoto zabezpieczone, jak sądzili, przed kradzieżą. Dosiadłszy koni popędzili w dżunglę, aby odnaleźć wodza.

Tymczasem Tarzan nie tracił z oczu Werpera. Oto ujrzał nagle, jak dopędza go Achmed

Zek. Koń Belga, zawadziwszy o gałąź leżącą na drodze, zwałił się na ziemię. Werperowi została tylko jedna droga ratunku. Ukrywszy się za zranionym koniem jął ostrzeliwać Achmeda Zeka, który - rzecz jasna - nie pozostał mu dłużny. Wzajemna strzelanina trwała jakiś czas. Wreszcie Werper widząc, iż pozostały mu tylko dwa naboje, krzyknął do Araba:

- Dajmy spokój z walką! Jeżeli obiecasz mi zaniechać strzałów, odstąpię ci skarb który posiadam.

- Wolność i własne życie są mi droższe nad wszelkie klejnoty!

Arabowi pozostał tylko jeden nabój; zastanowił się więc przez chwilę, wreszcie krzyknął w odpowiedzi: - Dobrze, ty chrześcijański psie! Odkładam karabin! Patrz! Zostaw kołczan na widocznym miejscu i zejdz mi z oczu!

Werper, z ciężkim westchnieniem, wyjął kołczan z zanadrza. Pomacał go z żalem i złożył na trupie swojego wierzchowca; oddalił się czym prędzej, aby ukryć się w czarnej dżungli.

Achmed Zek, oblizując spieczone wargi, rozwiązał sznurek zacieśniający kołczan. Wysypał garstkę kamieni na swoją sępią dłoń. Jego źrenice zwęziły się, z ust wyrwało mu się przekleństwo. Szybko wysypał resztę zawartości kołczanu: wargi zbieleły mu ze wściekłości, dłonie zacisnęły się kurczowo; oczy miały ogień...

Tarzan zeskoczył z konia i wspiął się na drzewo, zaciekawiony co mogła znaczyć ta rozmowa pomiędzy Achmedem Zekiem a Werperem. Przypatrywał się teraz Arabowi, chciał bowiem wiedzieć, co ten uczyni z kołczanem. Zamierzał mu go odebrać, gdyż przecież różnobarwne kamyki były jego niezaprzeczną własnością! Ujrzał w końcu jak Arab, chwyciwszy karabin, zagłębił się śpiesznie w dżunglę i popędził tropem Werpera.

Kiedy tylko Tarzan stracił go z oczu, wyskoczył ze swej kryjówki i zaczął zbierać rozsypaną zawartość kołczanu. Niebawem zrozumiał przyczynę gniewu Araba: zamiast ładnych, błyszczących, różnobarwnych klejnotów ujrzał garść najzwyklejszych kamyków.

Rozdział XIX Jane Clayton i król dżungli

Mugambi, po szczęśliwym odzyskaniu wolności, błądził po dżungli szukając drogi powrotnej do kraju Wazyków. Po kilku dniach uciążliwej wędrówki trafił nad brzeg szerokiej rzeki, gdzie znalazł - oprócz ożywczej wody do picia, której brak dał mu się we znaki poprzednio - dzikie owoce i dużo drobnej zwierzyny. Za pomocą sękatej maczugi, którą sporządził sobie w drodze, zdobył znaczny zapas pożywienia.

Postanowił zatrzymać się tu dłużej dla wypoczynku. Sporządziwszy sobie ciernistą bomeę rozłożył się na posłaniu z mchu. Usnął niebawem twardym snem...

Pewnego dnia, gdy Mugambi polował już w głębi lasu, wysledziła go para dzikich, małych, podeszłych krwią oczu. Należały one do Czulka, drugiego towarzysza Tarzana w pamiętnej wycieczce do osady Achmeda Zeka. (Czulk, widząc owego dnia szamotanie się Tarzana z Arabami, skorzystał z ogólnego popłochu, aby umknąć w dżunglę).

Gdy Czulk ujrzał roślego Gomangani z przepaską na biodrach i pióropuszem na głowie, zdjęła go ciekawość. Poczł zarazem wielkie pragnienie porwania mu owych barwnych piór i przyozdobienia nimi swej własnej głowy. Należało jednak zachować ostrożność i wyczekać na stosowną chwilę. Czulk, pomimo swej siły, obawiał się nieco sękatej maczugi, którą wielki Gomangani wywijał tak sprawnie podczas polowania na zwierzynę. Podwoił więc czujność... O zachodzie słońca Mugambi powrócił do bomy i ułożył się do snu. Czulk, siedzący na sąsiednim drzewie, wskoczył ostrożnie do bomy. W jednej chwili porwał maczugę oraz kołczan, zdobny w barwne pióra. Pomknął szybko ze zdobyczą w głąb dżungli...

Mugambi, przebudziwszy się nazajutrz, stwierdził ze zdumieniem brak maczugi oraz kołczana. Szczególnie to ostatnie odkrycie zmartwiło go niezmiernie. Tuż obok swego legowiska zauważył ślady wielkich stóp, podobnych do ludzkich - szukał więc usilnie złodzieja w zaroślach i na drzewach. Niełatwo jednak jest trafić na trop dzikiej małpy w dżungli. Trzeba na to było

powonienia i zmysłu spostrzegawczego Tarzana, z którym nawet Mugambi nie mógł się równać w znajomości puszczy i jej dzikich mieszkańców.

Murzyn zaniechał więc bezowocnych poszukiwań. Sporządziwszy sobie nową maczugę, podążył w drogę powrotną do krainy Wazyrów.

Podczas gdy Taglat pracował usilnie zębami i pazurami nad rozwiązaniem węzłów Jane, spomiędzy zarośli wyrzał nań chciwie wielki, grzywiasty łeb olbrzymiego lwa. Niebawem dał się słyszeć groźny ryk. Taglat obejrzał się - ale za późno - schwyciły go już bowiem potężne łapy króla zwierząt. Małpa złapała lwa za grzywę, zatapiając mu w karku swoje żółte kły. Obydwaj zapaśnicy tarzali się przez chwilę po murawie. Ryk lwa, zmieszany z przeraźliwym kwikiem antropoida, rozniósł się dalekim echem po dżungli. Wreszcie kot zanurzył pazury swych łap w piersi Taglata, który padł bez życia zalany krwią. Wkrótce zwycięski lew rozszarpał jego ciało i zabrał się do biesiady.

Jane, odzyskawszy przytomność, przypatrywała się ze zgrozą okropnemu widokowi.

Poruszywszy się z lekka stwierdziła z radością, że jej więzy zostały przegryzione przez Taglata.

Wiedziała jednak, że lew, zajęty obecnie pożeraniem małpy, może lada chwila rzucić się na nią.

Swoboda ruchów nie na wiele jej się teraz mogła przydać.

Najbliższe drzewo rosło o sto kroków od niej. Lew, pożerający łup, stał oddalony tylko o

pięćdziesiąt kroków. Ruszyć się teraz - równało się narażeniu na niechybną śmierć.

Przypatrywała się bacznie lwu, wykręconemu od niej nieco w bok. Zrywając się teraz,

mogła łatwo zwrócić na siebie jego uwagę - postanowiła więc użyć wybiegu. Zaczęła posuwać się

po murawie w stronę najbliższego drzewa, zatrzymując się co chwila i zachowując tę samą

pozycję, w jakiej lew zastał ją podczas napaści na Taglata.

Leżała, powstrzymując oddech... Lew jednak nie obejrzał się wcale. Spróbowała

kilkakrotnie tego samego manewru, lecz - gdy dzieliło ją od drzewa zaledwie kilka kroków - lew

obejrzał się. Widząc wymykającą mu się ofiarę spojrzął na nią groźnie, gotów do skoku. Wówczas, zbierając resztkę sił, Jane zerwała się na równe nogi i wdrapała na drzewo w chwili, gdy lew dał ku niej susa i zdawało się już, że chwyci ją w swe szpony.

Lew, rycząc i mrucząc groźnie, krążył pod drzewem. Siedząca na nim Jane wylewała teraz łązy radości - drżąc jednocześnie ze strachu i ulgi wobec szczęśliwie unikniętego, na razie, niebezpieczeństwa. W oddali słychać było ponure wycie hien i szakali. Wreszcie, zmorzona trudem i przeżyтыми wrażeniami usnęła, przytuliwszy się do gałęzi rozłożystego drzewa. Gdy się obudziła nazajutrz nie było śladu lwa ani innych drapieżników. Słońce świeciło wysoko na niebie, chóry ptasząt wesoło nuciły poranną pieśń. Jane, pokrzepiona snem, zerwała się z legowiska i - zeskoczywszy z drzewa - udała się na południe w stronę krainy Wazyarów. Choć wiedziała, iż z jej siedziby pozostały tylko zgliszcza, miała jednak nadzieję, że mieszkańcy okolicznych wiosek udzielą jej pomocy i opieki.

Wieczorem usłyszała odgłosy strzałów, pochodzące z dwóch, najwyżej trzech strzelb.

Ukrywszy się w zaroślach wyczekiwała z niepokojem dalszych wydarzeń, strzały bowiem stawały się coraz wyraźniejsze. Wreszcie wszystko ucichło. Nieco później zabrzmiał nagle odgłos przyspieszonych kroków, jak gdyby ktoś uciekał przed pościgiem. Ujrzała pędzącego człowieka, który, zadyszany, uciekał widocznie przed jakimś wrogiem. Jane poznała w nim Juliesa Frecoulta, domniemanego przyjaciela Lorda Greystoke'a goszczącego przez kilka tygodni w ich bungalowie. Już chciała zawołać uradowana, że go tu spotyka, gdy nagle dostrzegła, że skrywa się w krzaki z nabitą strzelbą...

Niebawem nadbiegł, blady z gniewu, Achmed Zek, rozglądając się bacznie dookoła.

Werper ze swojej kryjówki wziął go na cel i wypalił ze strzelby. W chwilę potem Achmed Zek padł martwy na ziemię. Jane zeskoczyła z drzewa i podbiegła z radosnym okrzykiem do pana Frecoulta, winszując mu odniesionego zwycięstwa.

Jane powtórnie uwięziona

Chociaż Jane stanęła przed Werperem w podartej odzieży, z rozwichrzonymi włosami, wynędzniała i blada - Belg został uderzony czarem jej piękności. Odetchnął z ulgą gdy wywnioskował z rozmowy, że jego udział w zdradzieckim ataku Arabów na jej dom nie był jej znany. Opowiedziała mu w kilku słowach o tym, co się zdarzyło od czasu jego wyjazdu z bungalowu. Gdy wspomniała o śmierci męża, łzy żalu zasnuły jej piękne oczy.

- Jestem oburzony - rzekł Werper z dobrze udanym współczuciem ale nie zdziwiony.

- Ten diabeł - wskazał na trupa Achmeda Zeka - był postrachem całego kraju. Wasi

Wazyrowie albo są wybici, albo wyparci ze swego kraju na południe. Ludzie Achmeda Zeka rozbili obóz na miejscu waszego dawnego domu. Nie ma żadnego schroniska w tamtej stronie. Cała nadzieja to udać się z powrotem do obozu arabskich rozbójników, zanim ci dowiedzą się o śmierci Achmeda Zeka. Musimy wyłudzić od nich eskortę, która odprowadziłaby nas na północ, w bezpieczne miejsce. Sądzę, że to nam się uda.

- Bawiłem u tego rozbójnika w obozie, zanim się na nim poznałem; jednak ci, którzy pozostali w obozie, nie wiedzą, że z nim walczę! Spieszmy się, by dotrzeć do obozu Arabów zanim dotrze do nich wieść o zamordowaniu ich wodza. Muszę najpierw tylko odebrać mu kołczan, który mi podstępnie wykradł. To rzekłszy Werper jął starannie obszukiwać trupa Achmeda Zeka. Nie znalazł jednak ani śladu kołczana. Zawiedziony i zły, powrócił do Jane. Ta zaś, nie podejrzewając zdradliwej obłudy, chętnie przystała na jego propozycję.

Nazajutrz po południu zbliżyli się do osady Arabów. Zanim jednak stanęli przed główną bramą, Werper odezwał się do Jane:

- Powiem im, że schwytałem panią w czasie ucieczki, że zaprowadziłem ją do Achmeda

Zeka, a ten rozkazał mi wracać czym prędzej do osady i zabrać stamtąd eskortę, aby zawieźć panią

do pewnego handlarza niewolnikami - który w zamian ma ofiarować znaczną sumę pieniędzy.

Pozorna szczerść Belga zwiódła nieszczęsną Jane. Pomimo, że drżała ze wstrętu na myśl o powrocie do okropnego więzienia, uznała to jednak za swój jedyny ratunek i pełna była wdzięczności dla swego fałszywego obrońcy...

Krzyknąwszy na strażę, Werper wszedł śmiało przez wrota ciągnąc za sobą młodą kobietę.

Zdumienie Arabów na widok ściganego porucznika, powracającego dobrowolnie i to jeszcze w towarzystwie drugiego zbiega, było tak wielkie, że ich wrogie względem niego nastawienie ustąpiło miejsca życzliwości i podziwowi. Zastępca Achmeda Zeka, Mohamed Bey, przyjął go również dość łaskawie.

Jane została związana. Postawiono strażę przed chatą, służącą jej za mieszkanie. Werper szepnął jej do ucha słowa pociechy, sam zaś udał się na rozmowę do Mohameda Beya.

- Pozdrawiam cię, bracie - rzekł Arab.

- Pozdrawiam cię - odparł Werper.

- Czy mój pan, Achmed Zek, był przy dobrym zdrowiu, gdy widziałeś go ostatni raz? - zagadnął Arab puszczając dym z fajki.

- Nigdy nie był wolniejszy od grzechów i niebezpieczeństw śmiertelnego życia - odparł Belg.

- Chwała Allahowi - rzekł Mohamed Bey, paląc fajkę.

Zapanowało krótkie milczenie. Po chwili Werper przerwał je, mówiąc:

- A gdyby Achmed Zek już nie żył?

Werper postanowił bowiem wyjawić całą prawdę i zjednać Mohameda Beya dla swych zamiarów.

Źrenice Araba zwęziły się; spojrzął Belgowi prosto w oczy.

- Myślałem wiele, Werperze, od czasu twego powrotu do naszego obozu nad tym, co zaszło

między tobą a moim panem, tak żądnym twojej śmierci. Doszedłem do przekonania, że musiał on zginąć - inaczej bowiem nie ośmieliłbyś się powrócić do obozu. Achmed zginął, nie masz co zaprzeczać. Nie był on ani mym ojcem, ani moją małżonką - bym ci miał rozdzierać uszy skargami. Powiedz mi lepiej, po co tu przybyłeś... Jeżeli posiadasz jeszcze owe klejnoty, nie widzę dlaczego nie miałbym się z tobą udać na północ, aby podzielić się nimi oraz zyskiem ze sprzedaży białej niewolnicy... Cóż ty na to?

Werpera uradował taki bieg rzeczy. Postanowił tedy nie wyjawiać Arabowi straty klejnotów, odezwał się więc w te słowa:

- Tak, Achmed Zek nie żyje. Został zamordowany w potyczce z abisyńskim wojskiem, wysłanym przeciw niemu przez Menelika. Obecnie Abisyńczycy są w posiadaniu złota, po które udał się Achmed Zek. Kierują się tutaj, aby pomścić napad waszych ludzi na abisyńską wioskę.

- A zatem - odezwał się po chwili milczenia Arab - mogę liczyć na to, że gdy pojedę z tobą na północ, otrzymam połowę sumy ze sprzedaży białej niewolnicy i połowę twoich klejnotów?

- Bądź tego pewien - rzekł Werper.

Mohamed Bey wydał rozkaz, aby dwudziestu konnych przygotowało się na jutro do drogi.

Następnego dnia Jane przebudzona została z gorączkowego snu przez wejście Julesa

Frecoulta i dwóch Arabów, którzy ją rozwiązali. Werper, korzystając z tego, że Arabowie zostali na chwilę wywołani za próg chaty, przyspieszonym szeptem oznajmił jej, że wszystko układa się zgodnie z jego myślą.

Niebawem posadzono ją na koniu. Znalazła się w towarzystwie kilkunastu jeźdźców;

między nimi był również Mohamed Bey i Frecoult. Wkrótce cała kawalkada wyruszyła poza obręb wioski, kierując się na północ.

Mohamed Bey rzucał na białą niewolnicę zaciekawione spojrzenie. Wydała mu się piękną

tak niezmiernie, że postanowił ją zdobyć do swego haremu, zamiast sprzedawać handlarzowi

niewolników.

- Jedynie ten chrześcijański pies stoi mi na przeszkodzie - pomyślał.

- Cóż byłoby łatwiejszego, jak usunąć go raz na zawsze, a wtedy zabrać jego klejnoty oraz piękną brankę?

Ożywiony tymi myślami podjechał do Jane, aby wszcząć z nią rozmowę.

- Czy wiesz, piękna - zagadnął - dokąd chce cię zawieźć ten człowiek? - wskazał na Werpera.

- Chciałabyś zostać zabawką w rękach czarnego sułtana? - Widząc zaś wyraz wstrętu na twarzy Jane dodał szybko: - Możesz uniknąć tego losu. Mohamed Bey cię ocali - tu wyciągnął rękę, ściskając młodą kobietę gwałtownie za ramię.

Jane szarpnęła się, oburzona:

- Potworze! - zawołała. - Zostaw mnie, bo inaczej poskarżę się panu Frecoult!

- Panu Frecoult?! - roześmiał się Arab szyderczo.

- Podobna osobistość nie istnieje. Jego nazwisko brzmi: Werper. Jest kłamcą, rabusiem i mordercą. Zamordował kapitana swego oddziału w Kongo i uciekł pod opiekę Achmeda Zeka.

Zawiódł go do twego domu. Śledził twojego małżonka i postanowił wykraść mu jego złoto.

Powiedział mi, że uważasz go za swego opiekuna - i dlatego łatwo będzie mu wywieźć cię na północ, aby sprzedać do haremu czarnego sułtana. Ja - Mohamed Bey - jestem obecnie jedynym twoim ratunkiem!

Jane nie wiedziała, jak wiele prawdy było w słowach Mohameda Beya. W każdym razie odebrały jej one spokój i zaufanie do tego, którego przywykła dotychczas uważać za swego dobroczyńcę. Zaczęła teraz z podejrzliwością rozpamiętywać słowa, zachowanie i uczynki

Werpera.

O zmierzchu rozłożono obóz. Namiot Jane znajdował się pomiędzy namiotami Werpera i

Mohameda Beya. Straże z przodu i z tyłu pilnowały branki, której - tym razem - nie nałożono więzów.

Posiliwszy się nieco, z rozpaczą w sercu Jane rzuciła się na swoje posłanie, tuląc się z żalnym łkaniem do rzuconego jej na nocleg stosu brudnych derek. Wreszcie dobroczynny sen skleił jej powieki, unosząc ją w czasy szczęśliwej a tak niedalekiej przeszłości.

Podczas gdy spała, z sąsiedniego namiotu wymknęła się jakaś postać. Zbliżywszy się do dwóch strażników, strzegących namiotu Jane, przemówiła do nich parę słów. Ludzie odeszli natychmiast w stronę swego legowiska - postać zaś, niby tajemniczy cień, wsunęła się do namiotu śpiącej kobiety...

Rozdział XXI

Ucieczka do dżungli

Tymczasem Albert Werper snuł dalej swoje plany, przewracając się niespokojnie na posłaniu w namiocie. - "Zdoła oszukać czujność Mohameda Beya? Lub - gdy trzeba będzie - zaciągnie go w zasadzkę i zamorduje... - Pozbywszy się Araba wywiedzie Jane w bezpieczne miejsce. Wówczas stanie się jego własnością; niechybnie zechce go poślubić jako swego obrońcę!" Wśród błogich złudzeń spędzał noc - gdy nagle usłyszał odgłos kroków, skradających się cichutko do namiotu tej, o której właśnie myślał. Zerwał się z posłania i wyszedł za próg. Zauważywszy nieobecność straży, uchylił zasłony namiotu - dokładnie w chwili, kiedy Mohamed Bey zbliżył się do śpiącej kobiety chwytając ją za rękę. Szał zazdrości i oburzenia ogarnął Belga. Przebiegł namiot i napadł z tyłu na Mohameda Beya. Ten, odwróciwszy się gwałtownym ruchem, odepchnął go brutalnie.

Rozpoczęła się szamotanina; przeciwnicy kopali się nawzajem, wymierzali sobie policzki, drapali się i gryźli. Jane blada, z rozwartymi szeroko źrenicami, oczekiwała z niepokojem wyniku walki. Wreszcie Arab zamierzył się nożem na Belga - ten, w rozpaczliwym wysiłku, podstawił mu

nogę. Mohamed zwał się na ziemię. Wówczas Werper, zdążywszy przez ten czas wydobyć rewolwer - wystrzelił zeń - kładąc przeciwnika trupem.

W tej samej chwili ludzie z obozu, zaniepokojeni odgłosem strzału, jęli się zbiegać dookoła. Jane zerwała się z posłania i podbiegła do oszołomionego walką Werpera.

- Jakże mam panu dziękować, drogi przyjacielu! - zawołała. - I pomyśleć, iż dzisiaj jeszcze prawie, że uwierzyłam w nieczne opowiadanie tego potwora co do pańskiej przeszłości i jego względem nas obłudy. Wybacz mi pan, panie Frecoult - powinnam była wiedzieć, że biały człowiek, gentelman, nie może być dla słabej kobiety nikim innym jak opiekunem i obrońcą wśród niebezpieczeństw tej dzikiej krainy.

Werperowi opadły bezwładnie ręce. Wpatrywał się w Jane, nie mogąc znaleźć słów w odpowiedzi. Naiwne tłumaczenie jego pobudek zbiło go całkowicie z tropu.

W obozie panował coraz większy ruch. Arabowie szukali sprawcy wystrzału.

Werper posłyszał zbliżające się kroki strażników, nadchodzących by zastąpić swoich towarzyszy. - Jeżeli tu wejdą i zastaną trupa Mohameda Beya, nie darują mu morderstwa popełnionego na ich wodzu. Należało działać szybko. Werper stanął u wejścia do namiotu, i rozsuwając nieco zasłonę, pierwszy odezwał się do strażników:

- Kobieta próbowała się bronić i Mohamed Bey musiał do niej strzelić. Nie zabił jej, tylko lekko zranił - dodał z uśmiechem. - Możecie wracać na legowiska, Mohamed Bey i ja dopilnujemy branki.

Arabowie, uspokojeni tym prostym tłumaczeniem, powrócili z zadowoleniem na swoje łoża.

Werper zwrócił się do Jane, ale - jakież odmienne miały nim teraz uczucia! Niewinność Jane i naiwna wiara w niego roznieciły w poruczniku Albercie Werperze niewygasłą jeszcze iskrę poczucia honoru i uczciwości. Po raz pierwszy zrozumiał ogrom swej zbrodni i doniosłość

krzywdy, jaką wyrządził tej uroczej istocie - li tylko w celu zaspokojenia własnej chciwości.

Postanowił teraz, zdjęty skruchą, naprawić w miarę możliwości uczynione zło i uratować jej życie kosztem nawet największych wysiłków.

- Cóż teraz pocniemy? - zagadnęła Jane, drżąc z trwogi. - Kiedy wstanie świt, wykryją trupa Mohameda Beya i zamordują pana - a mnie zapewne nie czeka lepszy los!

- Mam pomysł - odezwał się nagle Werper. - Wymagać on będzie z pani strony silnych nerwów i odwagi - ale już wykazała pani dostatecznie, że posiada te zalety. Czy może je pani raz jeszcze wystawić na próbę?

- Zniosę wszystko - rzekła - byleby mieć choć słabą nadzieję na ratunek - dodała, siląc się na uśmiech.

- Musi pani udawać nieżywą - rzekł.

- Wytlumaczę strażom, że Mohamed Bey rozkazał mi wynieść pani zwłoki do dżungli.

Powiem im, że Mohamed Bey, który zapalał do pani silnym uczuciem, tak żałuje swego gwałtownego czynu, iż nie może znieść milczącego wyrzutu w postaci pani martwego ciała.

Jane uśmiechnęła się z niedowierzaniem:

- Czy pan oszalał, panie Frecoult? Czy naprawdę pan sądzi, że strażnicy uwierzą w tę bajeczkę?

- Nie zna pani Arabów - odparł Werper. - Pomimo swej szorstkości i zbrodniczych popędów mają oni sporo uczuciowego romantyzmu. Wybieg uda się z pewnością, proszę w to nie wątpić.

Jane z niedowierzaniem wzruszyła ramionami:

- Możemy spróbować - rzekła - ale co będzie potem?

- Ukryję panią w dżungli - odparł Belg. - Nazajutrz rano zaś powrócę po panią z wierzchowcami.

- Ale jak wytłumaczy pan śmierć Mohameda Beya - nalegała jeszcze. - Cóż powiedzą, znajdując jego zwłoki?

- Niech pani zostawi to mnie - rzekł Werper. Pobiegł po pas myśliwski, opasał nim młodą kobietę i umocował przy pasie rewolwer. Zarzuciwszy ją sobie na ramię poprosił, aby zwiesiła bezwładnie ręce i nogi tak, by ciało sprawiało wrażenie martwego.

Niebawem znaleźli się u wrót bomy.

- Kto to? - zagadnął surowo strażnik, zwracając się do Werpera.

Belg zrzucił z głowy kaptur burnusa aby Arab rozpoznał jego rysy i zaczął tłumaczyć mu:

- To jest ciało owej branki - rzekł. - Mohamed Bey poprosił mnie, abym je wyniósł do dżungli - gdyż nie może patrzeć na martwe zwłoki tej, którą tak kochał. Cierpi niezmiernie; jest niepokieszony w swym żalu. Z trudem powstrzymałem go od odebrania sobie życia.

Jane, zwieszając się bezwładnie na ramieniu mówiącego, przysłuchiwała się z przerażeniem, jak jego podstęp zostanie przyjęty. Ku swemu zdumieniu usłyszała odpowiedź Araba, w której nie przebijało się żadne zdziwienie:

- Czy idziesz sam, czy mam ci dać ludzi do pomocy? - zapytał strażnik.

- Nie potrzebuję nikogo, dam sobie radę - odparł Werper.

Strażnik - nie dziwiąc się bynajmniej nagłemu wybuchowi wrażliwości u srogiemu Mohameda Beya, wypuścił Belga z ciężarem poza obręb bomy. Przeszedłszy jeszcze kawałek drogi

Werper postawił Jane na ziemi, następnie zaś, wyszukawszy rozłożyste drzewo, które wydało mu się bezpieczną kryjówką, zostawił ją tam zalecając jej cierpliwość i odwagę.

- Dziękuję, panie Frecoult - rzekła szeptem. - Okazał się pan człowiekiem równie szlachetnym, jak i odważnym. - Cienie nocy nie pozwoliły jej dostrzec rumieńców, jakimi oblała się twarz Werpera w odpowiedzi na tę tak niezasłużoną pochwałę.

Wrócił jeszcze raz pospiesznie do obozu i wśliznął się do namiotu, w którym leżał trup

Mohameda Beya. Ułożywszy go na posłaniu w postawie siedzącej wystrzelił w stos kółder, aby zagłuszyć odgłos wystrzału. Wcisnął mu do ręki rewolwer, kładąc wskazujący palec Araba na cynglu. Wysunął się niepostrzeżenie do swego namiotu. Tam rozebrał się i rzucił na łóżko oczekując jutra.

Nazajutrz rano przebudzony został strwożonym okrzykiem niewolnika Mohameda Beya, stojącego przed jego namiotem:

- Mohamed Bey nie żyje! - zawołał czarny. - Sam zadał sobie śmierć z morderczej broni.

Werper udał się w milczeniu za niewolnikiem. Zastał gromadę Arabów, stojących i rozprawiających żywo nad trupem wodza.

Rozpychając ich spiesznie Werper zawołał surowo:

- Kto ośmielił się zamordować wodza, Mohameda Beya?

Natychmiast chór głosów zabrzmiał w odpowiedzi:

- Nikt go nie zamordował, sam sobie zadał śmierć! Ognista broń i Allah poświadczą prawdę naszych słów!

Werper z początku udawał niedowierzanie; w końcu jednak dał się przekonać. Sam owinął w koce trupa Mohameda Beya, który wkrótce został pogrzebany na miejscu. Kiedy przykryła go już warstwa ziemi, Albert Werper wydał, na myśl o szczęśliwie unikniętym niebezpieczeństwie, westchnienie ulgi.

Arabowie byli teraz bez przewodnika; postanowili zatem udać się z powrotem do swej wioski. Werper oświadczył, że zamierza skierować się w stronę wybrzeża. Nie napotkał z ich strony najmniejszego sprzeciwu.

Odczekał, aż wszyscy odjechali z obozowiska. Dosiadł konia, którego sobie zostawił i popędził w stronę kryjówek Lady Greystoke. Tam, zatrzymawszy konia, krzyknął rozradowanym głosem:

- Dzień dobry!

Nie usłyszał jednak żadnej odpowiedzi. Zeskoczył więc spiesznie, obszukując drzewo dookoła. Kryjówka była pusta; Jane zniknęła w czeluściach dżungli.

Rozdział XXII

Tarzan odzyskuje pamięć

Kiedy Tarzan oglądał kamyki, stanowiące zawartość znalezionej kołczana, jego myśli wróciły do stosu żółtych bryłek, o które Arabowie stoczyli z Abisyńczykami tak krwawą i zawziętą walkę.

"Co on miał wspólnego z tym stosem metalu i owymi ślicznymi, błyszczącymi kamykami, które mu w tak dziwny sposób zamieniono? Skąd pochodziło owo złoto? Co znaczyło owo tajemnicze przekonanie, że żółty stos, o który toczył się tak zajadły bój, należał do niego?"

"Jaka była jego przeszłość?" - Zrazu niewyraźnie, zarysowały się przed nim wspomnienia dzieciństwa, spędzonego w małym gronie; następnie toczyły się przeróżne postacie ludzkie; przypominały mu się jakieś zdarzenia, niby fragmenty obcych, a jednak tak bliskich mu dziejów. Z wolna przychodził do siebie w bolesnym, lecz stałym wysiłku. Nade wszystko górowała w jego wyobraźni urocza kobieca postać, uderzająca dziwnym czarem... Kto to taki? Gdzie zwykł ją widzieć?... Ach, tak! - przypomniał sobie nagle - musiała ona być gdzieś tam, koło miejsca, w którym toczyła się owa walka. Tylko że wszystko wcześniej jakoś inaczej wyglądało. Były tam jakieś budynki, uprawne pola, parkany, grządki kwiatów; uwijało się tam mnóstwo postaci Gomangani.

Tarzan aż zmarszczył czoło, wysilając się w celu przypomnienia sobie tego wszystkiego.

Wreszcie postanowił zawrócić na miejsce walki, w nadziei zabrania bryłek złota i odnalezienia owej dziwnej istoty. Przedtem jednak postanowił wypocząć. W tym celu wspiał się na rozłożyste drzewo i przespał smacznie aż do rana.

Nazajutrz, udawszy się na owo miejsce, z żalem i gniewem spostrzegł, że stos świecących bryłek znowu gdzieś zniknął. Zły i rozżalony, postanowił odszukać Czulka; zapuścił się w głąb dżungli.

Trzy dni błąkał się, posilając się i śpiąc na przemian. Aż, pewnego dnia, z daleka doleciała go woń człowieka i konia. Skierował się w tę stronę. Dotarł do przestronnej równiny, przez którą przejeżdżał - nieświadomy niebezpieczeństwa - Werper.

W jednej chwili żyłaste palce człowieka-małpy schwyciły kurczowo Werpera za gardło.

- A śliczne kamyki? - wołał z gniewem.

- Gdzie podziałeś śliczne, błyszczące kamyki - własne kamyki Tarzana?!

Palce rozluźniły się nieco aby dać Werperowi możliwość wykrztuszenia odpowiedzi.

- Achmed Zek, Arab, wykradł mi je. Zmusił mnie do oddania mu kołczanu i kamyków.

- Widziałem to - odparł Tarzan - ale kamyki w kołczanie nie były moimi kamyczkami. Arab nawet nie chciał na nie spojrzeć. Gdzie są moje kamyki, gadaj! Powiedz natychmiast - inaczej koniec z tobą! - Żyłaste palce zacisnęły się mocniej wokół gardła Werpera.

Ten jął się rozpaczliwie szamotać:

- Na miłość Boga, lordzie Greystoke - zawołał.

- Chciałbyś mnie zamordować za garść kamieni? Tarzan oderwał natychmiast palce od gardła swej ofiary, zdziwiony i znacznie łagodniejszy.

- Lordzie Greystoke!... - powtórzył człowiek-małpa. - Lord Greystoke! Kto jest lordem Greystoke? Gdzie słyszałem to imię?

- Ależ, człowieku, ty właśnie jesteś lordem Greystoke! - zawołał Werper. - Podczas trzęsienia ziemi głaz zranił cię w głowę; wstrząśnienie to zaburzyło ci pamięć. John Clayton, Lord Greystoke - tak brzmi twoje nazwisko... Czy nie pamiętasz tego?

- John Clayton, Lord Greystoke! - powtórzył Tarzan.

Przez chwilę trwał w milczeniu; wreszcie dotknął ręką czoła - w jego oczach zabłysnął wyraz zdumienia. Puściwszy Belga stanął na równe nogi.

- Boże! - zawołał - Jane!

Nagle zwrócił się do Werpera.

- Gdzie jest moja żona? - zapytał. - Co się z nią stało? Cały mój folwark w zgliszczach. Co wiesz? Ty miałeś z tym wszystkim do czynienia... Ty za mną udałeś się do Oparu, wykradłeś mi klejnoty, o których sądziłem, że to tylko ładne kamyki. Złodziej z ciebie! Zwykły złodziej! - nie próbuj się przede mną usprawiedliwiać!

- On jest kimś znacznie gorszym od złodzieja - zabrzmiał za nimi spokojny głos.

Tarzan odwrócił się zdziwiony. Ujrzał wysokiego mężczyznę w mundurze belgijskiego oficera, stojącego za nim na szlaku. Za oficerem stał szereg uzbrojonych w karabiny krajowców w mundurach niepodległej republiki Kongo.

- On jest mordercą - ciągnął dalej oficer. - Ścigałem go już od dłuższego czasu, aby sprowadzić na sąd wojenny za zabójstwo wyższego oficera.

Blady i drżący Werper stał, oniemiały wobec nieubłaganego losu, który zesłał nań karę aż w głąb dżungli. Instynktownie próbował rzucić się do ucieczki. Tarzan jednak, położywszy mu rękę na ramieniu, rzekł:

- Czekać, bratku! Ten pan i ja potrzebujemy ciebie! Kiedy się z tobą rozprawię, będzie mógł cię zabrać. Powiedz mi jednak najpierw, co się stało z moją żoną?

Belgijski oficer spojrzał na nagiego, białego olbrzyma ciekawym wzrokiem.

Zauważył dziwny kontrast pomiędzy pierwotną bronią a wykwintnym, francuskim językiem, którym ten władał tak biegle. Broń oznaczała najniższy, mowa - najwyższy stopień kultury. Nie mógł dobrze określić społecznego stanowiska olbrzyma; w każdym razie gniewała go jednak pewność siebie, z jaką ten uzurpował sobie władzę nad przyłapanym zbiegiem.

- Daruje pan - rzekł, kładąc dłoń na ramieniu Werpera - ale ten człowiek jest moim więźniem i musi udać się ze mną.

- Kiedy ja z nim skończę - oświadczył spokojnie Tarzan.

Oficer dał znak stojącym za nim żołnierzom. Ci podeszli bliżej, otaczając człowieka-małpę i Werpera.

- Prawo i siła są za mną - rzekł oficer.

- Jeśli pan rości sobie pretensje do mojego więźnia, będzie pan mógł ich dochodzić sądownie.

- Śmiem powątpiewać w słuszość twoich praw, mój przyjacielu - jak również w twoją moc! - rzekł Tarzan.

- Pozwoliłeś sobie na wkroczenie na terytorium angielskie zbrojnie. Gdzie masz na to upoważnienie? Gdzie są dokumenty, nakazujące aresztowanie tego człowieka? Jaką masz przy tym pewność, że ja nie sprowadzę oddziału wojska, który przeszkodzi ci w powrocie do wolnego państwa Kongo?

Belg stracił cierpliwość.

- Nie mam najmniejszej ochoty wdawać się w rozmowę z nagim dzikusem! - zawołał. - Jeśli nie chcesz zostać poturbowany, nie powinieneś się mieszać do tej sprawy.

- Żołnierze - brać więźnia! - krzyknął odwracając się do swego oddziału.

Tarzan jednak nie dał za wygraną. Zwinnym ruchem chwycił wpół Werpera i rozepchnął tłoczących się żołnierzy. Byłby im umknął bezpiecznie wraz ze swoją zdobyczą - gdyż z ciężarem biegł chyżo jak jeleń - gdyby nie cios w głowę. Otrzymał go niespodzianie lufą karabinu od jednego z czarnych, któremu udało się go dogonić.

Cios ogłuszył człowieka-małpę; padł na ziemię zemdłony. Gdy po chwili przyszedł do siebie, był już związany równie mocno jak Werper. Wkrótce oddział żołnierzy wraz z dwoma

więźniami skierował się szybkim krokiem w stronę granicy państwa Kongo.

Zatrzymali się po kilku godzinach marszu, dla krótkiego wypoczynku na skraju dżungli.

Żołnierze rozpalili ognisko, przygotowując posiłek. Przez cały czas para dzikich, błyszczących oczu przypatrywała się wszystkim tym czynnościom. Gdy na rozkaz żołnierza więźniowie powstali, aby podejść do ogniska, para oczu rzuciła na Tarzana ciekawe spojrzenie. Wielki antropoid - właściciel owych oczu - wydawszy gardłowy okrzyk, jak gdyby rozpoznając go. Tarzan obejrzał się; odpowiedziałby mu w ten sam sposób, gdyby nie obawa wzbudzenia w żołnierzach podejrzeń. PO chwili zwrócił się do Werpera:

- Będę do pana mówił głośno w języku, którego pan nie rozumie. Udawaj, że mowa ta jest dla ciebie zrozumiała i odpowiadaj podobnymi dźwiękami. Nasza ucieczka może zależeć od tego.

Werper kiwnął głową na znak zgody. Wkrótce Tarzan zaczął wydawać dziwne, gardłowe dźwięki - na które Werper od czasu do czasu odpowiadał, mrucząc niezrozumiale. Zwróciło to uwagę żołnierzy, w niektórych zaś wywołało zabobonną trwogę. Oficer zbliżył się do Tarzana, przysłuchując się tej paplaninie z zakłopotaną ciekawością. Wreszcie nie mógł już powstrzymać się od zapytania, jakim to językiem mówią.

Tarzan, zdający sobie sprawę z niskiego poziomu umysłowego oficera, odpowiedział bez namysłu:

- Mówiliśmy po grecku.

- Tak - sądziłem właśnie, że to greka - rzekł oficer.

- Ale uczyłem się tego języka tak dawno w szkole, że teraz nic już nie mogłem zrozumieć.

Byłbym wszakże panom zobowiązany, gdyby na przyszłość porozumiewali się między sobą w zrozumiałym dla mnie języku.

Werper odwrócił się, szepcząc do Tarzana:

- I dla mnie była to greka, równie dobrze jak dla niego!

Jeden z czarnych żołnierzy odezwał się jednak do towarzyszy:

- Słyszałem już kiedyś podobny język: w dżungli, późną nocą; kosmate istoty tak do siebie gwarzyły, jak ten oto biały człowiek.

To jest z pewnością zły duch; spotka nas nieszczęście, jeśli go nie wypuścimy!

Wiadomość ta rozeszła się wkrótce po całym obozie, siejąc strach pomiędzy żołnierzami. W głębi dżungli tymczasem Czulk przeskakując z drzewa na drzewo dążył z jakimś tajemniczym posłannictwem w kierunku południowym.

Rozdział XXIII

Noc trwogi

Jane, wyczekującej na drzewie, na którym umieścił ją Werper, noc wydawała się nie mieć końca; z radością więc powitała poranny brzask. Serce zabiło jej ze wzruszenia gdy dostrzegła nadjeżdżającego jeźdźca w białym burnusie - sądziła bowiem, że to Frecoult, spieszący jej na ratunek.

Krzyknęła słowa powitania lecz, jednocześnie, okrzyk ten zamarł na jej ustach. Za późno - niestety! Jeździec w białym burnusie przystanął, dostrzegł siedzącą na drzewie kobietę. Uśmiech zadowolenia pojawił się na jego wargach. Był to Abdul Murak, powracający w rodzinne strony z garstką ocalałych żołnierzy. Pozbawiony złota, utraciwszy w potyczce z Achmedem Zekiem ludzi oraz jeńca, czuł się przygnębiony myślą o złym przyjęciu, jakie go spotka u Menelika. Ucieszył się więc niezmiernie widząc zdobycz, która mu tak, bez kłopotu, sama wpadła w ręce. Ofiaruje ją swemu srogiemu władcy i w ten sposób uzyska przebaczenie za nieudaną wyprawę.

Jane, wyciągnąwszy błagalnie ręce, poprosiła go o litość i opiekę. Chodziło jej o to, by dowiózł ją do pierwszej angielskiej osady - skąd mogłaby się porozumieć z przyjaciółmi, pozostającymi w Anglii.

Abdul Murak na te wzruszające słowa odpowiedział szorstko: Zaopiekuje się nią, chętnie,

ale obowiązkiem jego będzie odstawić ją na dwór cesarza Menelika! Zrozpaczona kobieta zrozumiała, że nie ma dla niej ratunku. Wsiadła na przyprowadzonego jej wierzchowca i zapuściła się wraz z całą karawaną w głąb dżungli...

Kiedy nadeszła noc żołnierze Abdul Muraka sporządzili ciernistą bomę, w środku której rozpalili ognisko. Następnie cała karawana ułożyła się do snu. O północy jednak rozległy się w przestrzeni groźne ryki. To stado zgłodniałych lwów, mających legowiska w pobliżu obozu, podeszło do bomy zwabione zapachem ludzkiego mięsa. Wśród karawany wszczął się popłoch; ludzie tłoczyli się wokół ognia, konie rżały niespokojnie. Ktoś z odważniejszych oddał wystrzał - raniąc jednego z lwów. Zwierzę, trafione w udo, pod wpływem bólu i złości nabrało takiego rozpędu, że jednym susem przeskoczyło ogrodzenie. Zrobiło w nim jednocześnie wyłom - przez który wpadły inne lwy, siejąc wśród ludzi i koni spustoszenie. Jane, oniemiała z trwogi, przypatrywała się okropnej scenie. Obok niej czarny żołnierz starał się nadaremnie obronić przed pazurami potężnego lwa, który przed chwilą zadusił jego wierzchowca. Lew jednym uderzeniem potężnej łapy powalił go na ziemię i dokończył dzieła - wydając groźny ryk zwycięstwa.

Spostrzegłszy młodą kobietę, zapatrzoną w ten okrutny obraz, lew potrząsnął żółtą grzywą. Otworzywszy paszczę, zdobną w długie, żółte kły, przygotowywał do nowego ataku...

Cisza zapanowała szybko w obozie belgijskich żołnierzy, w którym leżeli związani Werper i Tarzan. Dwaj wartownicy przechadzali się niespokojnie natężając słuch - czy nie słychać odgłosów, znamionujących obecność wielkich drapieżników dżungli? Wszyscy spali; za wyjątkiem Tarzana, który - wyężdżając wszystkie mięśnie - zdołał oswobodzić jedną rękę z więzów. Naraz z dżungli doleciał krótki, gardłowy odgłos. Człowiek-małpa zamienił się cały w nieruchomy posąg, otwierając szeroko oczy i wydymając nozdrza, aby łatwiej dostrzec i odczuć wszystko.

Niesamowity dźwięk rozbrzmiał znowu - tym razem wyraźniej, z ciemnych gąszczy, otaczających bomę. Strażnik przystanął nagle w miejscu, usiłując przebić wzrokiem ciemność.

Zawołał towarzysza:

- Czy słyszysz?

- Co takiego? - odparł tamten drżącym głosem.

Coraz głośniejsz rozbrzmiewały dzikie głosy; odpowiadał im taki sam z obozu. Strażnicy, wołając na alarm, dorzucili łuczywa do ognia. Niebawem cała karawana stanęła gotowa do obrony.

Nie musieli długo czekać. Ciemna, kosmata postać zeskoczyła zwinnie z drzewa w sam środek obozu - za nią zaś dwanaście innych - kierując się wprost ku dwóm więźniom. Był to Czulk na czele małpiej gromady.

Na próżno belgijski oficer, wymachując rękami, nakazywał swym podwładnym energiczną obronę. Czarni żołnierze, odczuwając zabobonny strach przed kosmatymi, leśnymi diabłami (jak nazywali małpy) nie śmieli wcale do nich strzelać. Patrzyli bezradnie jak Czulk i druga rosła małpa, pochwyciwszy każda więźnia na plecy, pomknęły z nimi przez bramę, znikając w głębi dżungli. Oficer oddał strzał, który zranił Czulka. Małpa bezwładnie upadła na ziemię. Werper, leżący na jej plecach, domacał się kołczanu zwisającego na sznurku u pasa antropoida. Obmacał kołczan - zawierał on małe, twarde przedmioty... Werper omal nie krzyknął, rozpoznając je - powstrzymał się jednak na czas i, odczepiwszy kołczan od sznurka, ukrył go w zanadrzu. Czulk podniósł się z trudnością. Kulejąc, dowlókł się do polanki, na której siedział już Tarzan zajęty zrywaniem swoich więzów.

Czulk, ze swoim ciężarem, znowu padł na murawę. Tarzan pochylił się nad nim; po chwili powiedział:

- Nie żyje! Szkoda go, bo był bardzo odważny...

Zajął się uwalnianiem z więzów Werpera. Ten jednak, w obawie aby Tarzan nie odnalazł kołczana, rzekł do niego, skoro mu już oswobodził ręce:

- Reszty dokończę sam. Mam nożyk, który zapomniano mi odebrać podczas rewizji.

I tym razem zwyciężyła chciwość. Dobry posiew, rzucony przez Jane, który spowodował przebudzenie się lepszej strony natury Werpera, znów został zagłuszony pragnieniem bogactwa. Werper - choć nie mógł pojąć, w jaki sposób wielka małpa posiadała ów kołczan - pewien był, że zawiera on drogocenne klejnoty z Oparu.

- A teraz - rzekł do niego Tarzan - w nagrodę za oswobodzenie pana z aresztu zaprowadź mnie, proszę, na miejsce, w którym ostatni raz widziałeś moją żonę.

Zaledwie uszli kilkadziesiąt kroków, gdy małpy, zmęczone nocną wyprawą, poukładały się na gałęziach drzew do snu. Dalszą wędrówkę odbywali więc sami. Niebawem uszu ich doleciały ryki lwów i odpowiadające im wystrzały.

- Lwy napadły na jakiś obóz! Trzeba by tam zajrzeć - rzekł Tarzan do Werpera.

- Być może pana żona tam się znajduje - poddał Belg.

Od czasu znalezienia kołczana stał się nieufny i przejęty strachem wobec człowieka-małpy.

Myślał tylko o tym, jakby się wymknąć spod jego opieki.

Słyszając to Tarzan aż krzyknął z wrażenia:

- Boże! - zawołał - przecież to zupełnie możliwe! - Tam lwy obległy obóz. Odgaduję to z rżenia koni. Posłuchaj tylko, jaki rozdzierający krzyk... To człowiek kona w pazurach lwa! Zostań tutaj. Wrócę niebawem - muszę najpierw pospieszyć tam na odsiecz. - I, wskakując lekko na drzewo, znikł w gąszczach dżungli.

Przez chwilę Werper stał tam, gdzie go zostawił człowiek-małpa. Chytry uśmiech wykrzywił mu usta:

- Zostać tutaj? - powiedział do siebie. - Zostać, aż wrócisz i odbierzesz mi klejnoty? Nie, nie - mój przyjacielu. Tego się po mnie nie spodziewaj!

Zwracając się twarzą na wschód Albert Werper zagłębił się w gęstwinię, znikając na zawsze z ludzkich oczu...

Powrót

W miarę jak Tarzan dążył naprzód, odgłosy walki pomiędzy Abisyńczykami, a lwami stawały się coraz wyraźniejsze. Kierując się w ich stronę dostał się wkrótce na miejsce spustoszenia - dokładnie w chwili, gdy jeden z lwów gotował się do skoku na bezbronną, osłupiałą z przerażenia Jane.

Biedna kobieta czuła, że straszliwy koniec nastąpi niebawem. Nie próbowała nawet ucieczki. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w olbrzymie zwierzę, które miało ją właśnie pochwycić wielkimi łapami... Wtem jej zdumiony wzrok padł na smukłą, muskularną postać człowieka-mały. Ten, zeskoczywszy z drzewa, spadł na kark lwa i zaczął się z nim szamotać. Tarzan! Jej ukochany Tarzan żył więc! Okrzyk radości zamarł jednak na ustach Jane gdy ujrzała, że jej mąż nie posiada żadnej broni. Tymczasem lew, ochłonawszy ze zdziwienia, zamierzał srogo ukarać śmiałka stojącego mu na przeszkodzie w zdobyciu tak smacznego kęska. Stanąwszy na tylnych łapach, próbował przewrócić Tarzana - ten z błyskawiczną szybkością, podjąwszy z ziemi karabin zmarłego Abisyńczyka wymierzył nim z całych sił cios w łeb lwa. Zwierzę padło bez czucia na murawę.

Jane rzuciła się na szyję mężowi; jednak powitanie ich trwało krótko. Wokół inne lwy ucztowały na trupach, oglądając się za nową zdobyczą. Tarzan, nie tracąc czasu, porwał żonę na ręce. Wspiął się na drzewo i zniknął w głębi dżungli. Garstka pozostałych Abisyńczyków była tymczasem zbyt przejęta obroną przed rozjuszonymi lwami, aby przeszkadzać Tarzanowi w porwaniu branki. Człowiek-mała bez żadnych przeszkód odbył dalszą wędrówkę - aż do miejsca, w którym pozostawił Werpera.

Nie zastawszy go, próbował szukać i wołać. W końcu jednak postanowił nie zatrzymywać się dłużej, by podążyć wraz z żoną w stronę swego bungalowu, z którego teraz pozostały szczątki.

- Potwierdził jedynie swą winę, uciekając przed nami - rzekł do żony. - Trudno, musimy pozostawić go własnemu losowi.

Przechodząc koło osady Achmeda Zeka zastali tam tylko kupę gruzu i zgliszcza.

- To Wazyrowie - zawołał Tarzan.

- Pomścili naszą krzywdę! Muszą obozować niedaleko stąd.

Już w pół godziny później dotarli do polanki, gdzie rozłożyła się horda czarnych wojowników - zgromadzonych przez Basulego dla dokonania zemsty na Achmedzie Zeku.

Pomiędzy nimi znajdowały się zabrane do niewoli kobiety z osady Arabów. Wyszczercząc w radosnym uśmiechu białe zęby stanęła przed szczęśliwą parą wyniosła postać Mugambiego...

Ach, jakże radosne to było spotkanie! Opowiadali sobie bez końca przeróżne doznane przygody. Basuli opowiedział po raz czterdziesty, jak to z garstką wojowników przypatrywał się zajadłej walce o złoto - toczonej między Abisyńczykami Abdul Muraka i Arabami Achmed Zeka; jak skorzystał później z tego, że pobojuwisko zostało opróżnione; jak kazał swym ludziom zabrać złoto i zakopać je tak, aby żaden złodziej nie mógł skarbów tych odnaleźć...

Cała prawda o przestępczej działalności Alberta Werpera wyszła teraz na jaw. Tylko Lady Greystoke nie mogła pogodzić jego złych postępów z tym jednym szlachetnym czynem, dzięki któremu ocalił jej życie.

- W duszy każdego człowieka - rzekł Tarzan - musi zawsze tlić się isierka prawości. To twoja cnota, Jane, roznieciła ją w tym upadłym awanturniku. Tym czynem odkupił po części swe winy. Gdy stanie przed Stwórcą, ten jeden rycerski postępek przeważy szalę jego podłości.

- Amen - rzekła ze skupieniem Jane. **

**

**

Upłynęło kilka miesięcy. Praca dzielnych Wazyrów i złoto, odnalezione w Oparze zrobiły

swoje. W fermie Greystoke'ów panował ład i porządek, na miejscu zgliszczy powstały nowe budynki. Mieszkańcom życie upływało na nieustannej, wytrwałej pracy i cichych radościach codzienności...

Pewnego dnia Lord Greystoke wyruszył wraz z małżonką na polowanie. Koń Jane potknął się o jakąś przeszkodę na otwartej przestrzeni przed dżunglą.

- Co to takiego? - krzyknął Lord Greystoke, schyliwszy się. Niebawem wszyscy troje, wraz z Jane i Mugambim, zaczęli przyglądać się ludzkiemu szkieletowi, ukrytemu w wysokiej trawie.

Tarzan znalazł koło szkieletu skórzany kołczan; dotknąwszy go, zawołał zdziwiony:

- Klejnoty Oparu! Te kości - oto co pozostało z Belga Werpera!

Mugambi zaśmiał się wesoło:

- Zajrzyj do środka, Bwano - rzekł. - Zobaczysz, co to za klejnoty - i za co Belg naraził swoje życie!

- Czemu się śmiejesz? - zagadnął Tarzan.

- Dlatego - odparł Mugambi - że napełniłem kołczan Belga, zanim się wymknąłem z obozu Abisyńczyków, gdzie obaj byliśmy więźniami, zwirem rzeczonym. Zostawiłem mu zwyczajne kamyki - sam zaś zabrałem klejnoty, które ci wykradł. Inna rzecz, że później wykradli je mi, podczas gdy spałem w dżungli. W każdym razie jednak Belg je utracił; otwórz kołczan, a przekonasz się.

Tarzan rozwiązał sznurki, ściągające kołczan. Wysypał jego zawartość na dłoń. Mugambi wybałuszył oczy: z kołczana wysypały się błyszczące, różnobarwne klejnoty...

- Klejnoty Oparu! - zawołał Tarzan. - W jaki sposób dostały się do rąk Werpera?

Nikt na to nie mógł odpowiedzieć. Tak Czulk, jak i Werper nie żyli - oprócz nich zaś tajemnica nie była znana nikomu.

- Biedaku! - rzekł człowiek-małpa, dosiadając wierzchowca. - Jeszcze po śmierci musiał

zwrócić to, co do niego nie należało. Niech mu ziemia lekką będzie!

Posłowie

Na przełomie XIX i XX wieku na mapie Ziemi pozostało niewiele białych plam. Wkrótce i one miały zniknąć dzięki wyprawom przedsiębiorczych podróżników i odkrywców. Te ostatnie niezbadane skrawki naszej planety pobudzały wyobraźnię nie tylko poszukiwaczy przygód i podróżników, ale również pisarzy. Pojawiły się opowieści o światach zaginionych i starożytnych cywilizacjach, o ostatnich świadkach upadku Atlantydy egzystujących w niedostępnych dla cywilizacji ustroniach Ziemi. Dopóki wszakże miejsca takie istniały, a nauka nie potrafiła w sposób racjonalny wytłumaczyć zjawisk z nimi związanych, dopóty autorzy popularnych gatunków literackich pełnymi garściami wrzucali weń płody swojej wyobraźni.

Z chwilą zniknięcia (czy może lepiej - "zapełnienia" zgodnego z obowiązującymi rygorami nauki) owych "białych plam", autorzy szybko znaleźli wdzięczne pole do popisu w miejscach nie poddających się tak łatwo naukowej penetracji, zaludniając planety układu słonecznego oraz daleki kosmos. Twórczość autorów piszących tego typu utwory spotkała się z żywym zainteresowaniem czytelników, którzy domagali się coraz to nowych przygód ulubionych bohaterów. Do historii przeszły nazwiska tak znanych autorów jak: Jules Verne ("Wyprawa do wnętrza Ziemi"), H. Rider Hoggard ("Ona", "Skarby króla Salomona", "W krainie Kor"), A. Merrit ("The Moon Pool"), Artur Conan Doyle ("Świat zaginiony"), J. Hilton ("Zaginiony horyzont") i najpłodniejszego z nich Edgara Rice'a Burroughs'a - twórcy słynnego Tarzana.

Ten ostatni był swoistym fenomenem w świecie piszących powieści awanturnicze i przygodowe. Jego książki wydano w nakładzie przekraczającym 100 mln egzemplarzy. Nakręcono kilka filmów o przygodach Tarzana, oraz wydrukowano niezliczoną liczbę komiksów, kolorowanek i nalepek, których bohaterami były postacie wymyślone przez Burroughs'a. Ten niezmiernie popularny autor napisał 70 książek, z czego 59 wydał za życia.

Kim był człowiek, którego twórczość od ponad siedemdziesięciu lat wywiera tak silne

piętno na milionach czytelników, spotykając się nieodmiennie z życzliwością następujących po sobie pokoleń?

Edgar Rice Burroughs urodził się w 1875 roku w Chicago. Jako młody człowiek zaciągnął się do kawalerii Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. W czasie odbywania służby poznał osławione pogranicze bardziej znane pod nazwą Dzikiego Zachodu. Spotykał tam i rozmawiał z ludźmi, którzy walczyli z Indianami z plemienia Siuksów i Apaczów. Zwolniony ze służby próbował szczęścia biorąc udział w wyprawach poszukiwaczy złota. Bez powodzenia podejmował się szeregu mało istotnych zajęć, w tym również pracy w Policji Drogowej w Salt Lake City a także... sprzedawcy wyrobów cukierniczych.

W wieku trzydziestu lat ożenił się. By utrzymać rodzinę potrzebował środków finansowych, którymi przysły milioner na razie nie dysponował. Wydatki przekraczały dochody. Chcąc poprawić sytuację bytową rodziny postanowił pisać. Sukces jaki odniósł przekroczył najśmielsze oczekiwania. W niespełna osiem lat od napisania pierwszego opowiadania mógł już nabyć ziemię z okazałym pałacem w pobliżu Los Angeles. Obecnie posiadłość ta nosi nazwę miasta Tarzana i jest dużą atrakcją przyciągającą wielbicieli jego pisarstwa.

W czasie Drugiej Wojny Światowej Burroughs był korespondentem wojennym na Hawajach. Umarł w 1950 roku pozostawiając majątek przekraczający 10 mln dolarów.

Debiutem literackim Edgara Rice'a Burroughs'a było opublikowane w 1912 roku, w poczytnym w USA piśmie "All Story", opowiadanie pt. "Under the Moons of Mars" (Pod księżycami Marsa). Jego rozszerzona wersja ukazała się pięć lat później w formie książki pt. "Księżniczka na Marsie" (1917). Sukces zmobilizował autora do napisania kolejnych tomów kontynuujących przygody bohaterów pierwszej książki (Goods of Mars - 1918, Warlord of Mars - 1919 i inne), które zapoczątkowały tzw. cykl marsjański. Powodzenie powieści marsjańskich Edgara Rice'a Burroughs'a zbiegło się z powszechnym zainteresowaniem społeczeństwa Europy i

Ameryki wynikami badań astronomów Schiaparelliego i Lowella. Naukowcy ci wysunęli hipotezę o możliwości istnienia życia na Marsie oraz zaobserwowali jakoby ślady pozostawione przez cywilizację Marsjan (kanały). Hipoteza ta, do dziś znajdująca - w tej czy innej postaci - swoich zwolenników, była szeroko komentowana, a Burroughs - wychodząc, jak zwykle, naprzeciw zapotrzebowaniu czytelników - stworzył romantyczno-przygodową opowieść zaspokajając w ten sposób głód przygód przywiązanego do ławy szkolnej ucznia, czy znużonego monotonną pracą robotnika i urzędnika. Trzeba przyznać, że marsjański świat zwany w powieści Barsoomem został wykreowany ręką mistrza. Tajemnicze ruiny miast, wielkie suche pustynie, obraz umierającego z braku wody świata są niesłychanie przemawiającymi do wyobraźni czytelnika elementami literackiej fikcji. W tej scenerii toczą ze sobą wojny zieloni, owadopodobni Marsjanie z odmianą człekokształtnych czerwonych mieszkańców Barsoomu. Pojawiają się dziwne zwierzęta, a wszystko to na oczach Johna Cartera, ziemianina, który w tajemniczy sposób znalazł się na Marsie. Prawdą jest, że sukces pierwszych trzech tomów trylogii zachwiany został - zdaniem wielu czytelników - wydaniem w latach czterdziestych kolejnej powieści cyklu zatytułowanej "Syntetic Man of Mars". Burroughs raz jeszcze sięgnął po te same tematy, ale nie wymyślił już niczego nowego. Szczerze przyznał się do braku nowych pomysłów dodając jednak, że pisze dla pieniędzy i jako biznesmen na wydaniu tej książki nic nie stracił.

Miał chyba rację znany krytyk amerykański Roger Lancelyn Green pisząc w swojej książce pt. "Into Other Worlds", że książki Burroughs'a trzeba czytać w odpowiednim wieku. Bagaż przeżyć procentuje bowiem później do końca życia.

W tym samym, 1912 roku, również w czasopiśmie "All Story" ukazało się drugie opowiadanie Burroughs'a pt. "Tarzan of the Apes". Opowiadanie, rozszerzone niebawem do wymiaru powieści, zapoczątkowało 26-tomowy cykl przygód Tarzana - Leśnego Człowieka. Cykl opowieści o Tarzanie przysporzył sławy autorowi i zapoczątkował pasmo sukcesów wydawniczych

i finansowych.

Powodzenie tego nowego cyklu zawdzięcza autor znakomitemu wyczuciu potrzeb czytelnika. Perfekcyjnie wychodzi naprzeciw pragnieniom ucieczki od miejskiego bezbarwnego życia przeciętnego mieszczanina. Umożliwia utożsamianie czytelników z bohaterami. W świecie literackiej fikcji Burroughs'a każdy może być lordem Greystoke lub Tarzanem. "Dzikus", jakiego znamy z kart J. J. Rousseau, został przez Burroughs'a wyniesiony ponad przeciętność. Tarzan jest nie tylko leśnym zabójcą, ale też lordem Greystoke - dziedzicem fortuny w Anglii. W pierwszej powieści "Tarzan of the Apes" (Tarzan wśród małp) zawiązuje się intryga, w której wątek lordowski i leśny wzajemnie się przenikają.

Cykl opowieści o Tarzanie trudno umieścić w gatunku literatury science-fiction. Nawet zdolność Tarzana do posługiwania się językiem małp nie pozwala zaliczyć tych utworów nawet do pogranicza literatury s-f. Powieści te należałoby sklasyfikować jako osobliwy rodzaj fantasy, ten sam, jaki nieco później wykreował - aczkolwiek z innymi atrybutami - twórca Conana E. R. Howard.

Tarzan jest bohaterem, którego pierwowzorów należy szukać w twórczości R. Kiplinga (Mowgli z "Księgi Dżungli"). Popularność bohaterów Burroughs'a zaowocowała też szeregiem naśladownictw. "Jan of Jungle" Otisa A. Kline'a czerpie inspirację wyraźnie z cyklu o Tarzanie, tak jak powieści Roberta Grandona czerpią z cyklu wenusjańskiego Burroughs'a. Podobne wpływy cyklu marsjańskiego znaleźć można w powieści "Darkover" Marion Z. Bradley. Jak wiele jest zapożyczeń z twórczości Edgara Rice'a w opowiadaniach wspomnianego już E. R. Howarda (twórcy Conana) wie każdy czytelnik, który ma możliwość porównania dokonań obydwu autorów. W powieści "Return of Tarzan" (Powrót Tarzana) Burroughs wskazuje na upadek cywilizacji białego człowieka. Cywilizacja techniczna jest, zdaniem autora, dekadenska. Przeciwstawia jej koncepcję szlachetnych praw dżungli. Motyw ten zresztą obecny jest i w innych

pracach. Nastawienie Burroughs'a obrazuje np. wypowiedź Tarzana, zawarta w prezentowanej powieści "Tarzan i klejnoty Oparu": "Pokażcie mi choćby jednego tłustego, opływającego w zbytki tchórza - mawiał - który kiedykolwiek zdołał wydać z siebie jakąkolwiek podniosłą ideę. Tylko wśród szczęku broni, głodu i niebezpieczeństw, w walce o byt, wobec grozy śmierci... w obliczu Boga, wcielonego w najpotężniejsze siły natury, budzą się najszlachetniejsze uczucia i rodzą najszczytniejsze myśli!"

Bohaterowie cyklu nie są typami skomplikowanymi psychicznie. Jak w każdej typowej powieści komercyjnej nie ma tu miejsca na subtelne cieniowanie osobowości, pozostawianie wątpliwości co do moralnych kwalifikacji czynów bohaterów. Osoby są wyraźnie podzielone na dobre i złe, "czarne" i "białe". Przewija się galeria dziwnych typów najczęściej czarnych charakterów: Belgów, Rosjan, Amerykanów, Arabów, Murzynów itp. Także portrety kobiet w książkach Burroughs'a są schematyczne, bez pogłębionego opisu. Są symbolem seksu, naiwności i stanowią przedmiot pożądania czarnych charakterów. Wszystko to pozwala krańcowo uwypuklić postać bohatera pozytywnego, z którym utożsamiać miał się masowy odbiorca.

Po sukcesie pierwszej książki "Tarzan of the Apes" Edgar Rice napisał jeszcze dwadzieścia kilka opowieści o Tarzanie i usilnie zabiegał o to, aby stworzona przez niego postać była stale popularna. Dbał bardzo o reklamę swojej twórczości. Tarzan występuje nawet w trzeciej wielkiej serii Burroughs'a, w "Pellucidarze". Pierwsza opowieść o tajemniczej podziemnej krainie ukazała się w 1914 roku (w druku zwartym w 1922 roku). Rok później (1923) ukazał się tom drugi pt. "Pellucidar". Powieści z nowej serii utwierdzają nas w przekonaniu, że autor posiada wyraźną wizję zupełnie nowego świata, wolnego od cywilizacyjnych bolączek współczesności. Trzeba przyznać, że udało mu się to - jak na ówczesne warunki - nie najgorzej. W obliczu kolejnego sukcesu twórca idąc "za ciosem" pisze kolejne tomy rozszerzając cykl do sześciu. Siódmy, ostatni, ukazał się już po śmierci autora. Jedną z powieści opowiada o przygodach Tarzana w podziemnej

krainie - Pellucidarze. Jest nią wydany w 1930 r. "Tarzan at the Earth's Core".

Pellucidar jest krainą stworzoną w oparciu o - naiwną w świetle dzisiejszej naszej wiedzy - hipotezę Johna Symmes'a. Hipoteza ta zakładała, że glob ziemski jest wewnątrz pusty, a w jego centrum znajduje się małe słońce oświetlające zewnętrzną powierzchnię skorupy ziemskiej.

Niewiarygodność jej została szybko udowodniona, niemniej jednak fantaści często sięgali po nią, aby dać upust swojej wyobraźni. Wystarczy przytoczyć nazwisko Włodzimierza Obruczewa, rosyjskiego pisarza, autora popularnej w latach dwudziestych książki pt. "Plutonia".

W 1932 roku czasopismo "Argosy" rozpoczyna druk pierwszej powieści z czwartej wielkiej serii. Tym razem akcja powieści, zatytułowanej "Pirates of Venus", dzieje się na planecie Wenus. Bohaterem cyklu jest Carson Napier, będący typową dla Burroughs'a postacią.

Seria wenusjańska nie jest tak popularna jak powieści marsjańskie. Autor czerpał wiadomości o tej planecie z prac astronoma S. Arrheniusa, który zakładał, że atmosfera planety Wenus jest bardzo wilgotna i gorąca. Krajobraz planety nie pozwolił pisarzowi rozwinąć wyobraźni. Zawszad wieje smutkiem i depresją. Można powiedzieć, że wyobraźnia autora została wytłumiona przez gęste i gorące opary, szczelnie otulające powierzchnię planety.

Wydana w 1923 roku powieść pt. "The Moon Maid" rozpoczyna piąty cykl powieściowy poczytnego autora. Burroughs, wzorem W. Scotta, zakłada własną drukarnię, aby nadażyć z wydawaniem własnych książek. Prócz poczytnych seriali, twórca Tarzana jest autorem wielu powieści, które jednak nie zapoczątkowały żadnej nowej serii. Jedną z nich jest powieść zatytułowana "The Land that Time Forgot" (1924). Książka ta uznana była przez czytelników za najlepszą z całego dorobku pisarskiego Edgara Burroughs'a. Składa się ona z trzech nowelek, z których każda opowiedziana jest przez inną osobę. Klimat powieści zbliżony jest do twórczości Edgara Alana Poe i Arthura Conan Doyle'a. Treścią są przygody załogi okrętu podwodnego, która korytem podziemnej rzeki dostaje się do dziwnego świata zwanego Caspak. Mieszkańcy Caspaku

rozwijają się - jeśli nic nie stanie na przeszkodzie ich życiu - w cyklu przyspieszonej ewolucji od ryb do formy inteligentnej. Ten i wiele innych fantastycznych pomysłów, wykorzystujących jednak w pewnym stopniu dorobek nauki - jak w tym wypadku teorię ewolucji, zawartych w tej książce stawia ją w rzędzie ciekawych i nieszablonowych.

Proza Edgara Rice'a Burroughs'a, mimo wielu uproszczeń, zaniedbań a nawet błędów i całkowitego niejednokrotnie braku wiarygodności, spełnia jednak oczekiwania, jakie posiadał - i posiada w dalszym ciągu - masowy czytelnik. Świadczy o tym wielka poczytność jego książek.

Powieści Burroughs'a są bardzo podobne do siebie bez względu na to, gdzie rozgrywa się akcja utworu. Stwarza to możliwość transponowania bohaterów i miejsca akcji gdziekolwiek.

Przypomina to zabiegi reżyserów, którzy wykorzystywali gotowe fragmenty walk Tarzana z krokodylem z jednego filmu (nakręconego wcześniej) w produkcji nowego filmu z tym samym bohaterem.

Dostrzegalną cechą w twórczości Edgara Rice'a jest tajemniczość pochodzenia jego głównych bohaterów. Wyjątkiem jest tu tylko postać Davida Innesa (Pellucidar), o którego dzieciństwie i młodości autor pisze trochę więcej. Bohater najlepszej serii (The Princess of Mars) John Carter nie przywołuje wspomnień o dzieciństwie, sprawia wrażenie jakby zawsze był dorosły i ciągle miał 30 lat. Dziki człowiek dżungli - Tarzan jest w rzeczywistości lordem, podobnie jak bohaterka innej powieści Burroughs'a "The Cave Girl" (1925) okazuje się być nie dziewczyną z jaskini, lecz córką zaginionej pary książęcej. Czy było to działanie zamierzone przez autora, aby dodać blasku własnemu pochodzeniu?

Burroughs otaczał swoje pochodzenie tajemnicą. Mówił, że urodził się w Pekinie, gdzie spędził młodość. Ojciec podobno był doradcą w sprawach wojskowych na dworze cesarza Chin i przebywał w zamkniętym dla świata mieście cesarza. Naprawdę jednak Burroughs nigdy nie opuścił terytorium USA.

Inną, typową dla twórczości Burroughs'a jest kwestia płciowości i swoistego jej opisu.

Mężczyźni opisani są często jako fizycznie zdegenerowane kreatury (Tarzan i klejnoty Oparu) i różnią się znacznie od pięknych kobiet. Sytuacja zostaje odwrócona w powieści "Tarzan and the Ant Man" (Tarzan wśród Pigmejów), gdzie dominują silne brutalne i większe od partnerów kobiety.

W powieściach "ojca" Tarzana sporo jest nagości, ale nie ma erotyki, czy nawet jej implikacji. Jest to opis życia w świecie przed pokwitaniem. Przykładem ilustrującym to jest opis Thari, jednej z bohaterek cyklu marsjańskiego, która będąc przez 15 lat niewolnicą i igraszką białych Marsjan, biega nago a mimo to chroni swoją niewinność.

Krytyk Richard D. Mullen stwierdził, że w twórczości Burroughs'a zagrożenie dla płci słabszej istnieje stale. Świat wykreowany przez tego autora przesiąknięty jest grozą i gwałtem. W książkach napisanych w latach 1911-1915 krytyk ten znalazł aż 76 sytuacji zagrażających niewinności kobiety.

Carl G. Jung - twórca jednego z nurtów psychoanalizy - miał do czynienia z pacjentką, która była przeświadczona, że mieszkała na Księżycu, gdzie w wysokich górach żyły wampiry porwijące i mordujące dzieci i kobiety. Słynny psychiatra zauważył zbieżność wizji swojej pacjentki ze światem kreowanym przez Burroughs'a. Jung pisze w tej kwestii: "Od tego czasu widzę cierpienia ludzi chorych umysłowo inaczej. Ponieważ spojrzałem w głąb bogactwa ich wrażeń i w świat ich wewnętrznych doświadczeń". Oczywiście nie przypisujemy autorowi przygód Tarzana choroby umysłowej, ale można sądzić, że Jung znalazł jeden z kluczy do pisarstwa fantastycznego tego pisarza, naświetlając bliżej coś przymusowego i permanentnie powtarzającego się w jego twórczości. Prześledzenie tych wątków spuścizny Burroughs'a stanowić może problem ciekawy sam w sobie, pozwalający wyjaśnić nie tylko psychologiczne podłoże twórczości tego poczytnego autora, ale - być może - mechanizmy masowej recepcji jego dzieł. Pozostawimy to

jednak specjalistom psychoanalitykom. Poznań, w czerwcu 1989 r.

Jacek Wójciak